Nr. 21. Warszawa, d. 1 Listopada 1908 r. R. X.

ŁOWIEC POLSKI

Kantor Redakcyi „Łowca Polskiego: Nowy-Świat 35 w Warszawie.
(Listy do Redakcyi „Łowca Polskiego" adresować należy: Smolna 40).

KALENDARZYK MYŚLIWSKI.

W listopadzie wolno polować na: dziki, łosie (byki), jelenie (byki), sarny (rogacze), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy, dropie, kwiczoły i wszelkie ptactwo przelotne, a do 1 (14) listopada na klępy, łanie i kozy.

Lunacya w listopadzie.

Pierw. kw. d. 1 o g. 8 rano.
Pełnia d. 8 o g. 2 w nocy.
Ostat. kw. d. 15 o g. 6 w.

Wschód i Zachód Słońca

w listopadzie.

Dnia	Wschód		Zachód	
	g.	m.	g.	m.
1	6	57	4	27
2	6	59	4	25
3	7	1	4	23
4	7	3	4	21
5	7	5	4	19
6	7	6	4	17
7	7	8	4	15
8	7	10	4	14
9	7	12	4	13
10	7	14	4	11
11	7	16	4	9
12	7	18	4	7
13	7	20	4	6
14	7	22	4	5
15	7	24	4	3

Jako odbitka z „Łowca Polskiego"

wyszło z druku dzieło

OBERLAENDERA

p. t.

UKŁADANIE WYŻŁÓW.

Dzieło Oberlaendera, zawierające **szczegółowy i wyczerpujący opis** układania wyżłów, cieszy się niemal wszechświatową sławą, zwłaszcza na kontynencie. Między innemi, jako dowód popularności tej pracy może posłużyć fakt, że Francuzi, zazwyczaj niepozwalający sobie imponować Niemcom, w swoich pismach myśliwskich, piszą o tresurze psa, często jednak powołują się na Oberlaendera, jako powagę uznaną.

Jakiego powodzenia doznało to dzieło w samych Niemczech, dowodzi, że pierwsze jego wydanie ukazało się 1894 r., a w roku 1905 wypuszczono już w świat wydanie piąte, czyli że w ciągu 9 lat niespełna rozeszło się 23,000 egzemplarzy tej książki.

Wydając tłómaczenie tego dzieła, mniemamy, że spełniamy rzecz pożyteczną. Z V uzupełnionego i poprawionego przez autora wydania usunęliśmy tylko obszerne przedmowy, pisane w tonie polemicznym, oraz szczegóły dotyczące anatomicznej budowy wyżła, bowiem polski czytelnik znajdzie je gdzieindziej („Pies zdrowy i chory" d-ra O. Hilfsreicha).

Dzieło to stanowi **wielce pożyteczny podręcznik przy układaniu wyżła,** tembardziej że obecnie nie posiadamy w handlu księgarskim żadnej pracy w tym kierunku.

„UKŁADANIE WYŻŁÓW" stanowi duży tom o 460 stronicach ścisłego druku, z licznemi ilustracyami w tekście.

Cena 3 rub.

z przesyłką pocztową **3** rb. **25** kop.

Dzieło to nabyć można w Redakcyi „Łowca Polskiego" (Nowy-Świat 35), w Magazynie Warszawskiej Spółki Myśliwskiej (Królewska 17), w księgarni Gebethnera i Wolffa, K. Treptego i we wszystkich innych.

Nabywający to dzieło bezpośrednio w Redakcyi „Łowca Polskiego" kosztów przesyłki nie ponoszą.

Nowi prenumeratorowie „Łowca Polskiego", którzy nie posiadają początku tego dzieła, **za bezpośredniem** zgłoszeniem się do Redakcyi „Łowca Polskiego" otrzymają całą książkę za połowę ceny.

DZIEŁA MYSLIWSKIE

wydane nakładem Redakcyi „Łowca Polskiego".

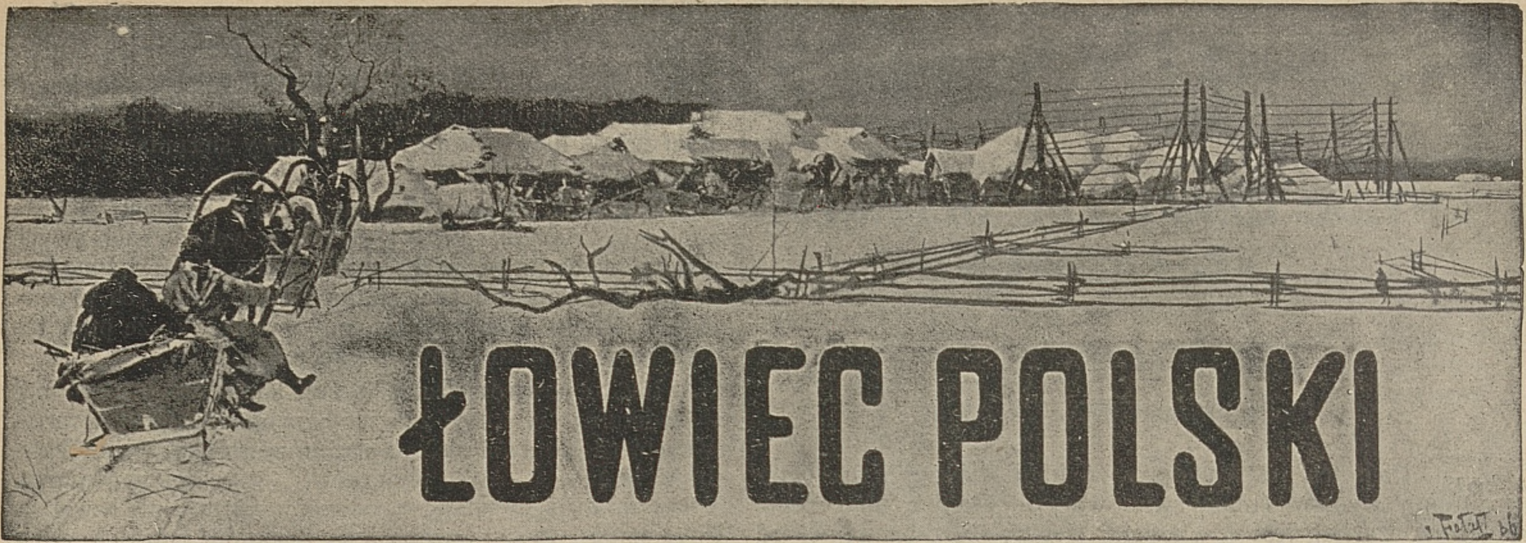
„Myślistwo z ogary" przez ***Jana hr. Ostroroga***, wojewodę Poznańskiego. Dwa wieki przetrwała ta praca, nie straciwszy nic na swojej świeżości i, jak ongi, tak i dziś może być czytana z największem zajęciem, tembardziej, że zawiera w sobie skarbnicę starej naszej gwary myśliwskiej. **75 kop.**

„Sarna". Monografia sarny napisana przez ***Wiktora Stephana***, nagrodzona na konkursie Warsz. Oddz. Ces. Tow. praw. myśl. Wyborna ta praca obznajmia dokładnie czytelnika z naturą, hodowlą i sposobem życia tej najpiękniejszej ozdoby naszych lasów, oraz z wszelkiemi sposobami polowania na sarny. **60 kop.**

„Pies zdrowy i chory" przez d-ra ***O. Hilfreicha***. Popularny podręcznik dla posiadaczy psów, a zwłaszcza myśliwych, mający duże powodzenie w Niemczech, zawiera ważne wskazówki, jak obchodzić się z psem od najmłodszego szczenięcia, oraz przepisy i recepty na różne choroby i przypadłości naszych faworytów. Tekst objaśniają liczne rysunki. **1 rb. 20 kop.**

„Żywienie jeleni i sarn" napisał ***Dr. Max Neumeister***, dyrektor Królewsko-saskiej akademii leśnej. Dziełko to wskazuje, jak i kiedy żywić należy swoje zwierzostany, aby dochować się licznych i pięknych egzemplarzy. **60 kop.**

Wszystkie powyższe dzieła nabyć można w Kantorze Redakcyi „ŁOWCA POLSKIEGO" (Nowy-Świat Nr. 35) w Warszawie i w Magazynie Spółki Myśliwskiej (Królewska Nr. 17)



Dwutygodnik ilustrowany, poświęcony myślistwu, broni i hodowli psów myśliwskich.
Organ Warszawskiego Oddziału Cesarskiego Towarzystwa prawidłowego myślistwa.
Ogólnego zbioru Nr. 231.

Nr. 21.	Warszawa, d. 1 listopada 1908 r. Warunki prenumeraty i ogłoszeń na końcu tekstu.	Rok X.

WALKA O BYT.

JAN SZTOLCMAN.

PTAKI DRAPIEŻNE DZIENNE
kraju naszego.

(Ciąg dalszy).

Kania czarna *(Milvus korschun).*

Ptak ten jest mniejszy od kani wielkiej i ma ogon mniej wycięty (mniej widłowaty). Ogólne ubarwienie kani czarnej jest z wierzchu ciemno-szaro-brunatne, od spodu rdzawe z czarniawem, podłużnem strychowaniem, przyczem kolor rdzawy najsilniej występuje na brzuchu i na podogoniu; brak też na tych częściach czarnego strychowania. Głowa wraz z karkiem i podbródkiem jest siwa, wpodłuż czarno strychowana wąskiemi smużkami; strychowanie to przechodzi na brunatne wole i na piersi, gdzie smugi czarne są grubsze. Lotki są czarniawe z wewnętrznemi chorągiewkami do połowy białemi, brunatno pręgowanemi. Ogon z wierzchu jest szaro-brunatny, od spodu brudno-białawy z widocznemi, poprzecznemi pręgami koloru szarego; takież jest i zakończenie ogona. Pręg ciemniejszych jest na ogonie 8. Dziób u bardzo starych osobników jest żółty, u młodszych — czarny; woskówka i nogi pomarańczowo-żółte; pazury czarne. Tęcza brunatna.

Młode (podług Taczanowskiego) mają tło brunatne, ciemniejsze, każde pióro plamą płowo-rudą zakończone; przepaski ogonowe mniej wyraźne, woskówkę i nogi brudniejsze.

Długość całkowita ptaka wynosi mniej więcej 575 do 605 mm.; rozpięcie skrzydeł (siąg) 1470—1500 mm.; długość skrzydła 450—460 mm.

Kania czarna zamieszkuje całą Afrykę, Madagaskar, wyspy Zielonego Przylądka; w zachodniej Europie spotyka się wypadkowo, zalatując czasami do Anglji; pospolitszą się staje ku wschodowi, gdzie się rozprzestrzenia prawdopodobnie aż do Azyi środkowej (po Afganistan). U nas pospolitszą jest na wschód od Wisły, aniżeli na zachód; w Pińszczyźnie spotykałem ją bardzo często, coby wskazywało, że lubi okolice błotniste. Do kraju naszego przylatuje nieco później od kani wielkiej, i wcześniej też od niej odlatuje; od połowy sierpnia wcale jej już nie widać.

Zdaje się, że wszystkie europejskie osobniki lecą na zimę do Afryki, gdzie sięgają w wędrówkach swych południowych krańców tej części świata. Zauważono też, że kania czarna gnieździ się na swych zimowych przelotach w Afryce południowej, coby świadczyło, że ptak ten dwa razy do roku odbywa lężenie.

Jak to powiedzieliśmy wyżej, kania nalatuje do nas w kwietniu; w Rosyi zaś środkowej, podług słów prof. Menzbiera, pojawia się ona razem ze słonką, więc niekiedy w końcu, a nawet wyjątkowo — w połowie marca. Ptaki nalatują pojedyńczo, niekiedy parami lub nawet po kilka sztuk. Zrazu trzymają się mieszkań ludzkich, gdzie łatwiej pożywienie w postaci odpadków kuchennych znaleźć mogą, a także czynią wtedy szkody w drobiu domowym, porywając pisklęta gęsi, kaczek lub kur domowych. Skoro jednak nadejdzie pora lężenia, kanie wynoszą się do lasu lub w doliny rzek, gdzie im łatwiej wysokie drzewa znaleźć. Można wtedy zauważyć, że kanie noc spędzają towarzysko, wybierając sobie do tego wysokie drzewa ze sterczącemi, suchemi gałęziami na których gromadzi się nieraz po 30 i 40 sztuk. Zasypiają tak mocno, że według świadectwa Menzbiera, można je podejść na 10 do 15 kroków.

Kiedy nadejdzie pora lęgowa, kanie wybierają sobie nieraz stare gniazdo, które odpowiednio wzmacniają i wyściełają; w rzadkich wypadkach zajmują stare gniazda srok lub kruków; służą im one jednak tylko za podstawę, na którem wznoszą gniazda właściwe. W braku gniazd opuszczonych budują nowe w sposób następujący. W starym lesie wybierają wyniosły dąb, wiąz, sosnę lub inne jakie drzewo i w rozwidleniu pnia i jednego z grubych konarów układają dość luźno grube gałązki i pręty, z których tworzy się rodzaj kosza. Na ten kosz ptak układa warstwami różne miększe materyały, jak trawę, wióry, koński nawóz i t. p., ale w taki sposób, że każdy z wymienionych materyałów leży osobną warstwą. Górna warstwa, na której bezpośrednio mają spoczywać jaja, utworzona jest z bardzo miękkich materyałów, jak wata, szmaty i t. p.

Do tak sporządzonego gniazda samica niesie zwykle 3 jaja, rzadziej 1, 2 lub 4. Są one podobne do jaj kani

---

POD PIRAMIDAMI.

(Dokończenie).

Sposób zachowania się tego zwierzęcia zwrócił moją uwagę; to też obserwując starannie bloki kamienne piramidy, dostrzegłem mnóstwo małych, ostrych uszu, i czarnych pyszczków, które szybko się poruszały. Były to szakale, które, napierane przez obławników, opuszczały swe chwilowe kryjówki, umykały w kierunku mego stanowiska; a czyniły to z taką zręcznością i z taką bystrością, że pochybiałem znaczną ich część; a nadto, obawiając się postrzelić którego z naganiaczy, zmuszony byłem puszczać niektóre bez strzału; te zaś, które nie dostały kulą w łeb lub pod łopatkę, pochowały się między wielkie bloki kamienne, zkąd ich niepodobna było wyciągnąć.

Inne piramidy zostały przepędzone w ten sam sposób, co w rezultacie dało mi na rozkładzie 2 wilki i 14 szakali. Była to liczba znacznie przewyższająca moje oczekiwania najbardziej optymistyczne.

Słońce tymczasem przypiekało już porządnie, co niewątpliwie sprowadziłoby szybki rozkład mięsa zwierząt z natury tak smrodliwych, jak szakale i wilki. Kazałem więc natychmiast obedrzeć je ze skóry, a ja tymczasem skierowałem się do mieszkania Abdallah'a, położonego o godzinę drogi od piramid. Oczekiwała mnie tu kara odwetu pod postacią śniadania, którego pamięć pozostanie mi na długo; a panowie szakale zostali pomszczeni, bo i ja otrzymałem bolesny „postrzał“...

Szeik ceremonialnie robił mi honory domu według wszelkich zwyczajów plemienia. Kobiety, dzieci i służba zostały wydalone; tylko najstarszy syn szeika miał szczęście pozostania we drzwiach, zkąd ruszał się tylko, aby mi usługiwać z całym akompaniamentem wykrzywiań. Co się zaś tyczy naczelnika rodziny, to i on stał przez cały czas, trzymając się w przyzwoitej odległości, odpowiadając z respektem na wszystkie pytania, jakie mu zadawałem, gdy jednocześnie starałem się napróżno rozerwać twarde i żylaste kawałki jakiegoś ptaka, którego naprędce przyrządzono na moją cześć. Ah! to pieczyste stoi mi jeszcze ciągle w gardle, jakby podczas przykrego snu!.. Idąc od domu Abdallah'a, strzeliłem na chybił trafił w stado kaczek, przeciągających wysoko; jeden gągoł *) spadł, dostawszy przypadkiem postrzał. Tę to marną kaczkę podano mi; w dodatku nie wypaproszono jej i pozostawiono połowę piór na ciele! Ptak ten był nietylko twardy i żylasty, ale w dodatku czuć go było błotem i zgniłą rybą, co mi sprawiało obrzydzenie. Słowem był to ptak wstrętny w smaku i obrzydliwy dla oka, bo go wsadzono na mocny ogień jeszcze prawie ciepłego, więc wyciągnął

*) Gatunek kaczki nurkowatej. *(Przyp. tłóm.).*

wielkiej, lecz zwykle są mniejsze; czasami jednak trafiają się tak duże, iż niepodobna ich prawie odróżnić. Średnia miara jaj wynosi 55×43 mm.; zdarzają się jednak małe (50,5×41,4), oraz bardzo duże (57×43,5).

Samica wytrwale siedzi na jajach, gdy jednak znajduje potrzebę odlecenia czy to dla wyprostowania zdrętwiałych członków, czy dla innej jakiej przyczyny, wówczas samiec zajmuje natychmiast jej miejsce i siedzi, póki jego połowica nie wróci. Pisklęta nie są w stanie same rozbić skorupy, więc ją tylko nadłupują, a wtedy samica dopomaga im swym dziobem do rozbicia.

Pokarm kani czarnej jest bardzo urozmaicony i zależy od pory roku, oraz od warunków miejscowych. Widzieliśmy już poprzednio, że ptaki te w pewnych chwilach trzymają się mieszkań ludzkich, aby korzystać z różnych odpadków kuchennych lub rabować pisklęta drobiu domowego. Wogóle kania czarna, jak i różne inne gatunki tego rodzaju trzymają się sąsiedztwa człowieka, więc nietylko chwilowo osiedlają się w blizkości jego siedzib, ale nawet towarzyszą koczującym plemionom Kirgizów lub oddziałom wojsk podczas marszu.

Gdy jednak okoliczności zmuszą je do szukania przytułku w lasach lub na stepach bezludnych, wówczas zmienia się też i rodzaj ich pożywienia. I tak w lasach kania czarna żywi się przeważnie myszami, młodymi zającami, oraz młodymi ptakami; w stepach znów napada głównie na susły, wśród których straszne zniszczenie sprawia. W blizkości rzek łowi żaby i szczury wodne *(Hypudaeus amphibius)*, młode kaczki, oraz inne pisklęta wodnego i błotnego ptactwa. Przy sposobności nie gardzi też padliną, a nadto karmi się rybami, które już to łowi wprost z wody na płytszych miejscach lub też korzysta z porzuconych przez rybaków rybek podczas połowu niewodem. Lubi też zapadać na spuszczone stawy, gdzie obfity pokarm znajduje wraz z krukami, wronami, czaplami i niektórymi drapieżnikami. Wreszcie w braku lepszego pokarmu łowi większe owady, lub też przynosi swym pisklętom wielkie małże rzeczne *(Anodonta)*.

Widzieliśmy z powyższego wykazu pokarmów, jakimi się żywi kania czarna, że duży procent wśród nich stanowią młode zajączki, oraz pisklęta rozmaitego ptactwa łownego. Wystarcza to, aby zalecić myśliwym tępienie kani czarnej, jako ptaka wysoce szkodnego dla gospodarstw łowieckich.

(C. d. n.)

Zwierzyna w puszczy Białowieskiej.

Niedawno obiegła pisma wieść smutna, prawie nie do uwierzenia, że wiekowa puszcza Białowieska ma paść pod toporem. Choć wiadomość na chwilę bieżącą okazała się nieprawdziwą, wiszą jednak nad Białowieżą chmury, które w niedalekiej przyszłości wielkie zmiany mogą przynieść w gospodarce tym szmatem ziemi.

Wobec tego przytaczamy parę wyjątków z obszernej pracy p. W. Ambroziewicza w niewychodzącym już obecnie dzienniku „Hasło", dotyczących zwierzyny i łowów w tej miejscowości.

Puszcza Białowieska, położona prawie w samym środku gubernii grodzieńskiej, jest dzisiaj największym lasem w środkowej Europie. Dziś, względnie odosobniona, w dawnych, jakby niejeden powiedział — dobrych czasach—należała do długiego pasma pierwotnych, prawie bezludnych, dziewiczych borów, rzuconych pomiędzy Mazowszem, Rusią i pogańską Litwą, stanowiła szlak bezpieczny, kędy ku południowi — w strony lubelskie i sandomierskie Jadźwignowie dzikie wyprawy przedsiębrali. Z tego szlaku leśnego pozostały jeszcze dotąd rozległe bory augustowskie, puszcza Zielona, Kłyszewska, lasy zabłudowskie w białostockiem, puszcza Białowieska, lasy ruckie i puszcza bialska. Pośród tych cudnych, starych lasów królowanie jednak przypada puszczy Białowieskiej dla jej starodrzewia, dla żubrów i innych jeszcze względów i osobliwości, o których poniżej.

Niegdyś puszcza ta miała do 400 tysięcy morgów rozległości, ale królowie polscy nadawali różnym dostojnikom rozliczne jej części, w następstwie karczowane. Pośród niej spotykamy wiele folwarków i wsi osiadłych. Obwód puszczy ma 160 wiorst.

Nazwy „Białowieży" szukać musieliśmy w mrocznych i bardzo odległych czasach; powstać ona musiała od jakiegoś myśliwskiego zameczku książąt litewskich, od „białej wieży". Nazwę tę po raz pierwszy notuje nam dziejopisarz Długosz (w połowie XV wieku). Za nim powtarza ją Bielski (w wieku następnym), pisząc, „że Jagiełło wraz z Witoldem, przygotowując się wcześnie na wojnę przeciw Krzyżakom, przez 8 dni w r. 1409 polowali w Białowieży". Tam też w roku 1426 gdy „morowe powietrze wstrząsnęło całą Polską przerażeniem i pokryło

---

niepomiernie szyję i nogi, co mu nadawało trupi pozór. Reszta śniadania dostrajała się do tej pierwszej potrawy.

Przemogłem jednak w sobie cały wstręt i aby nie obrażać mego amfitryona, zjadłem po trochu każdej potrawy. Potem wszczęliśmy rozmowę. Abdallah zapewnił mnie, że jeśli zdecyduję się spędzić jeszcze jedną noc na brzegu pustyni, to napewno zabiję jedną lub dwie hyeny, że miał na to środek niewątpliwy; że będę sobie mógł tylko powinszować, jeśli przyjmę jego propozycyę; że sposobność była jedyną, gdyż przejazd z jego domu zajmie ledwie parę godzin; że... ale już więcej nie pamiętam jego zapewnień. Opowiadanie jego było tak przekonywujące, żem w końcu uległ tentacyi. Ukończono szybko przygotowania i ruszyliśmy.

Karawana nasza, składająca się z tuzina dromaderów (należało wziąć eskortę z powodu bandytów, grasujących w okolicy) ruszyła pod rozpalonymi promieniami słońca, którego żar wzmagał się przez rewerberacyę od gorącego piasku i odbijania w wodach rozlanego Nilu, którego brzegiem posuwaliśmy się. W miarę naszego marszu grunt stawał się skalistym, coraz bardziej falistym i stromym, co zwiększało jeszcze zmęczenie ciała, spowodowane przykrym ruchem naszych wierzchowców. Nareszcie po długiej i uciążliwej jeździe, gromadka nasza zatrzymała się około 5 godziny po południu u wejścia do wąwozu, który przecinał swymi stromymi brzegami wzgórze, mogące mierzyć jakie 30 metrów wysokości. Przybyliśmy do celu naszej podróży.

Abdallah pokazał mi swój „niezawodny środek", który okazał się ścierwem osła, zawiniętem w worek na grzbiecie jednego z naszych dromaderów. Padlinę tę przywiązano na długim sznurze do siodła dromadera w ten sposób, aby się mogła ciągnąć po ziemi, i jeden z poganiaczy wielbłądów otrzymał rozkaz włóczenia jej, opisując wielkie koło, które przeciąć miało punkt obrany dla mnie na zasadzkę, a odległy o jakie dwa kilometry. Gdy wykonywano ten manewr, ja tymczasem wybrałem sobie miejsce odpowiednie na zasadzkę. Był to środek jakby wielkiego cyrku, uformowanego wskutek kopania tufu, co utworzyło rodzaj kolistych stopni, robiących do złudzenia wrażenie obszernego, rzymskiego amfiteatru.

Powłokę przeciągnięto o jakie 20 metrów od kupy kamieni, za którymi miałem zamiar skryć się następnej nocy, i pozostawiono ją w tem właśnie miejscu, opisawszy przedtem drugie koło, przecinające pierwsze, a tym sposobem każdy zwierz, który by wpadł na trop i szedł nim czy w tym, czy w innym kierunku, musiał koniecznie przejść w miejscu przecięcia się ósemki w ten sposób uformowanej, znaczy się na odległość mego strzału.

Zjedliśmy naprędce skromną zakąskę, złożoną z sucharów arabskich i z sera wielbłądziego; poczem dromadery układły się jeden po drugim do spoczynku, otoczone bagażami, które nam miały służyć za poduszki; Arabowie odmówili swe modły wieczorne i rozciągnęliśmy się na ziemi z nabitą bronią pod ręką w przewidywaniu napadu złoczyńców.

żałobą, Witold i Jagiełło razem z żonami szukali bezpiecznego schronienia przed pomorem".

Dawne te, odległe czasy kryje ten szmat ziemi, który od czasów najdawniejszych był własnością monarszą, zwaną „królewszczyzną". Z chwilą rozbiorów Polski królewszczyzna została przydzielona do majątków Cesarskich, a w następstwie do nich przyłączono puszczę Świsłocką, skonfiskowaną z rozkazu Cesarza Mikołaja I Tyszkiewiczom po r. 1831. Od tej chwili 30 mil kwadratowych lasu zostaje w zawiadywaniu bezpośrednim rosyjskiego skarbu.

Pamięć łowów królewskich zachowała się w puszczy w postaci nazw; wymienimy tutaj „Jelenie góry", gdzie Jagiełło nogę złamał, „Batorową korę" i inne, niekiedy nawet w nazwach uroczysk kryje się jakieś wydarzenie, związane z czasami odległymi.

Te uroczyska często są doprawdy dla badacza skarbem, dają bowiem najlepiej wyobrażenie o ogromie tych wielkich puszcz, lasów i borów, w które niegdyś tak bogatym był nasz kraj. Dochowały one bowiem w większości przypomnienie tych dziewiczych ostępów, których nietylko stopa ludzka nie deptała przez ciąg kilku wieków, ale promień słońca przez nie zaledwie czasem mógł się przedrzeć.

O sto z górą wiorst od Grodna, w pow. prużańskim, przy byłym trakcie handlowym z Grodna do Brześcia Litewskiego, nad rzeką Narewką, leży wieś Białowieża, główny punkt puszczy Białowieskiej, gdzie dzisiaj koncentruje się życie gospodarczo-społeczne puszczy. Nie należy jednak dzisiejszej Białowieży mieszać z nazwą uroczyska „Stara-Białowieża", położonego o kilka wiorst od niej, gdzie prawdopodobnie od chwili pierwszych pomiarów puszczy w wieku XVI za króla Zygmunta Augusta zbiegały się linie graniczne 12 strażnic.

Nazwaliśmy Białowieżę punktem głównym puszczy dla tej przyczyny, że tam znajduje się: zameczek Cesarski, urzędy władz, zarząd puszczy. Do samej Białowieży można dojechać koleją, czy to Brzesko-grajewską od strony Bielska, czy też Siedlecko-bołogojską od strony Siedlec. Zwykle jednak zwiedzający dojeżdżają tylko do stacyi Hajnówki, odległej o trzy mile od Białowieży, a pierwszej na brzegu puszczy, i stąd idą pieszo lub furmankami odbywają resztę drogi. Cudzoziemiec na tej drodze też nie jest rzadkością, często Anglika, a nawet Amerykanina przywiedzie ciekawość na te odwieczne ostępy. My, Polacy, stosunkowo jednak nielicznie wogóle zwiedzamy rodzime kąty, dopiero w ostatnich czasach ruch w tym kierunku się wzmógł, wzrosło też zainteresowanie nasze i Białowieżą.

Co prawda, wycieczka dość uciążliwa do Białowieży, choć nie kosztowna, wielu od tego odstrasza. Niewygodę łatwo jednak się zniesie, gorsze, że na miejscu spotykać się często można z nieżyczliwościami i wstrętami przy zwiedzaniu zamku i zwierzyńca, na co potrzeba uzyskać specyalne pozwolenie od miejscowego zarządu. Zarządca temi wielkiemi dobrami Cesarskiemi mieszka o dobre 1 i pół wiorsty za zameczkiem, on wydaje odpowiednie pozwolenia. A że wszystko jest oparte tam na formalnościach i dobrym humorze, zdarza się niekiedy, a podobno nazbyt często, że godzinami całemi trzeba w sieniach wyczekiwać na „papier". Byłem świadkiem, jak towarzystwo złożone z trzydziestu kilku osób, straciło pół dnia na meldowaniu paszportów w urzędzie policyjnym i w przedpokoju p. zarządcy, zanim uzyskało pozwolenie obejrzenia osobliwości Białowieży.

Uzbrojeni w pozwolenie po pięciu godzinach nudy i czekania wbiegliśmy na taras myśliwskiego zameczka w Białowieży. Nie jest on osobliwością pod względem budownictwa. Dość lekki, o smagłych wieżyczkach, z ciemno-czerwonej cegły, pośród kunsztownie prowadzonego parku angielskiego, ładnie jednak wygląda. Wewnętrzne urządzenie skromne, trochę malowideł rodzajowych, dużo tematów z puszczy, meble i ściany przeważnie z drzewa, kilka głów żubrzych, jeden żubr wypchany w całej okazałości swej siły w przedsionku, lochy piwniczne; osobliwości te niedługo zajmują czasu zwiedzającym; każdy spłaca daninę temu budynkowi najokazalszemu w puszczy i szybko śpieszy do boru, szuka bezpośrednich wrażeń w naturze. Nie ulega wątpliwości, że od tych licznych komnat bardziej oczy zajmuje bażantarnia w parku, z niezwykłymi kilku okazami i z całem stadem pospolitych kur i kogutów.

Zameczek Cesarski jest nabytkiem czasów ostatnich, stary bowiem zamek książąt litewskich, owa historyczna „biała wieża", stał prawdopodobnie w uroczysku Stara-Białowieża, w pobliżu której znajduje się miejscowość, nazywana podaniowo przez ludność okoliczną „zamczyskiem". Sam tam nie byłem; opowiada o niej p. Gloger, który dotarł do niej z p. Henrykiem Sienkiewiczem, że widział tam jeszcze kamienie, wyglądające z pod na-

---

Po dniu tak upalnym chłód nocy był nadzwyczaj przyjemny. Leżąc do góry twarzą, zajęty byłem rozróżnianiem znajomych mi planet; wkrótce sen zmorzył moje powieki.

Obudziłem się nagle w tem przekonaniu, że przeszła już godzina wyznaczona na rozpoczęcie zasadzki. W samej rzeczy, gdym zapalił zapałkę, przekonałem się, że zegarek wskazywał już godzinę 3 minut 50. Nie było chwili czasu do stracenia, gdyż świtanie zaraz rozpocząć się miało. Kłusem więc pobiegłem na miejsce obrane dnia poprzedniego.

Jakżeż długiem wydało mi się oczekiwanie!

Zmęczony niewyspaną nocą i przykrą jazdą dnia poprzedniego, z trudnością tylko zwalczałem senność, która ciążyła na mych powiekach, zmuszając do kiwania głową na podobieństwo tych obrzydliwych bożków chińskich z porcelany, zdobiących kominki niektórych salonów mieszczańskich. Starałem się przezwyciężać te potykujące ruchy głowy; aby zaś sen mnie nie zmorzył, szczypałem się mocno, roztwierając szeroko powieki. Zły byłem na siebie za tę moją miękkość za ten brak wytrzymałości, gdyż nigdy dotychczas nie zdarzyło mi się doznawać przykrości podczas zasadzki. Porobiłem sobie sińce na rękach i na nogach. Robiłem największe wysiłki energii, aby tylko wyprostowywać głowę i plecy moje, które po chwili znów się pochylały coraz więcej. Nigdy przedtem nie doznawałem takiego wrażenia senności! A przecież musiałem się znajdować na zasadzce od niedawna, gdyż noc panowała jeszcze w całej pełni. Nigdy jeszcze czas nie płynął mi tak wolno.

Głośne krzyki obudziły mnie nagle. Był już biały dzień. Abdallah w towarzystwie kilku swoich ludzi biegł ku mnie, krzycząc i giestykulując.

Zawstydzony, żem się dał opanować senności, i w nadziei, że Beduini nie spostrzegli tego (Europejczyk nie przyznaje się nigdy do swych słabości przed tubylcami), zacząłem nadrabiać miną: „Cóż do licha — zawołałem — znaczy ta cała komedya? Wczoraj chciałeś mi zrobić nieudaną sztukę; a dziś znów psujesz mi zasadzkę. Zapłacisz mi za to, łotrze!"

Abdallah z całą pokorą dał mi następujące wyjaśnienie. Wieczorem spostrzeżono się, żem zniknął. Abdallah, poczuwając się do odpowiedzialności za moją całość, wyruszył natychmiast z częścią swych ludzi i zajął cichaczem stanowisko o jakie sto metrów od mej zasadzki, aby mi iść na pomoc w razie potrzeby. Skoro tylko świtać zaczęło, zjawiła się masa szakali, zwabionych odorem padliny. Ale „Master no y shooty" — pan nie strzelał. Już to się wydało podejrzanem! Następnie przyszła hyena, która odpędziwszy szakala, kręciła się wkoło mego stanowiska, zwężając coraz więcej swe koła do tego stopnia, że w końcu ocierała się o mnie prawie swem cuchnącem cielskiem. Ja jednak nie dawałem strzału. Stawało się to bardzo podejrzanem! Zaniepokojony tem w obawie, że mi się co zdarzyło, Abdallah i jego ludzie rzucili się wtedy ku mnie, odpędzając hyenę krzykami.

sypu, które wskazywały ślady fundamentów, a w odgrzebanej ziemi czerwieniły się szczątki cegieł i pieczysk. Dużo jednak wody musiało upłynąć w Narwi od czasu, kiedy mieszkali tam ludzie, bo na środku wądołu piwnicznego wyrósł dąb omszały, świadek oczywisty przynajmniej paru wieków.

Drugą osobliwością, na obejrzenie której też trzeba mieć pozwolenie, są żubry. Choć wogóle zwierząt dzikich dużo jest w puszczy, choć co chwila z gęstwy wychyla się o szarych, wilgotnych, a tak smutnych oczach sarna, choć spotykasz całe stada różnych odmian (?) jeleni, choć niekiedy na stado dzików się natkniesz, nie mówię już o zwierzynie drobnej, pan puszczy, królewski żubr trzyma się w głębi. Przytem stada żubrze w puszczy, luzem chodzące, są rzadkością, pozostając przeważnie pod czujnem okiem strzelców w Zwierzyńcu.

(Dok. nast.)



Psy w Konstantynopolu.

Wschód jest krainą mirażu; tak chce legenda wszechświatowa; tak mówią poeci, powtarzając to ciągle, chociaż nikt nie wie, kto podlega złudzeniu i czy ofiarami tego zjawiska nie są przypadkiem sami oryentaliści, patrzący z odległości. W tej to krainie, której tajemniczość przypomina się na każdym kroku, istnieje miasto, a jego nazwa stała się jakby symbolem, miasto, będące uprzywilejowanem siedliskiem przysłowiowej turczyzny. Jest to Konstantynopol, którego nazwa sama wywołuje w naszej wyobraźni dwa obrazy: Cudowne ramy, cały las minaretów, nagromadzenie złoconych kopuł, odbijających się w błękitnem morzu; a zaraz potem inne widziadło zasłania nam cudowny obraz: przez wązkie i kręte uliczki, wśród błota, o jakiem nasze miasta europejskie nie mogą dać pojęcia, pędzą w szalonym biegu stada zgłodniałych psów, przewracając wszystko na swej drodze, bijąc się między sobą i szarpiąc od rana do wieczora, powodując taki hałas dzień cały i noc całą, że wszelka myśl o spaniu musi być zaniechaną. Mimo ich wielkiego wzrostu, możnaby się od nich uwolnić, zabijając je tuzinami... jak psy; lecz dzięki tej niezwykłej osobliwości, wskutek najwyższego uporu Turków, którzy widzieliby w tej rzezi naleciałości Zachodu, uważa się te psy za święte; bieda temu, ktoby je dotknął; żadna siła ludzka nie jest w stanie przeszkodzić ich zabawom. Mimo jednak wszystkie niebezpieczeństwa, jakie z ich powodu mogą się zdarzyć Europejczykom, zwierzęta te mają jedną dobrą stronę —co stanowi jedną osobliwość więcej: psy konstantynopolitańskie nie podlegają nigdy wściekliźnie. Gdyby nie ta okoliczność, nie możnaby zamieszkiwać tego miasta. Trudno jest pomyśleć bez grozy, coby się działo, gdyby straszna zaraza poczęła się szerzyć od stada do stada, a niktby nie przedsięwziął tępienia dotkniętych chorobą zwierząt. Tej tylko odporności zawdzięczać można, że istnieje jeszcze miasto nad Bosforem i że władca wierzących zabawia jeszcze czasami Europejczyków z głębokości Złotego Rogu.

Wierzymy wraz z tymi wszystkimi, którzy mieli sposobność zbadać warunki życia tych hord *sui generis*, że opisy nie odpowiadają rzeczywistości i że znajdujemy się wobec mirażu, o którym wspominaliśmy wyżej. Niemniej jednak nie należy zbytnio zmniejszać tego, że tak nazwiemy „widoku psiego“ w Konstantynopolu. Faktem jest, co zresztą można sprawdzić, zrobiwszy parę kroków w mieście, że istnieje tam rasa psów, właściwego sobie typu, której osobniki w ilościach niepodobnych do obliczenia, nie mają i nigdy nie miały swych właścicieli; i rzecz dziwna, dzięki danym według własnych obserwacyi, lub zebranym tu i owdzie, przyszliśmy do przekonania, że obyczaje tych psów, oraz warunki ich bytowania różnią się zasadniczo od zwyczajów psów europejskich.

Wszelkie fałszywe wieści, jakie legenda o psach włóczących się rozpowszechnia, rozpraszają się przy pierwszem zetknięciu z ziemią turecką. Skoro tylko statek nasz stanie w dokach i spuszczone zostaną schodki, zanim dokonane zostaną najpierwsze formalności wyładowania, już tuzin zwierząt rudawych wpada na pomost, rzuca się do kuchni i tam wszędzie, gdzie mogą być resztki jedzenia, łasi się do marynarzy, do oficerów, do pasażerów, kładzie się z miną zadowoloną u ich stóp. W ten to sposób robi się pierwszą znajomość z psami w Konstantynopolu. Gdy się wysiądzie na ląd, po długich zwykle formalnościach celnych, można widzieć te zwie-

---

W samej rzeczy, rozpoznałem na piasku szerokie tropy hyeny i przekonałem się, że zanęta została prawie kompletnie pożartą przez szakale. Nie chcąc jednak przyznać się do winy, udałem silne zakłopotanie. Nie zawahałem się nawet powiedzieć, żem nie strzelał tylko dlatego, bo mi nalazło piasku do zamka mego sztucera; i dodałem — Ś-ty Hubercie, przebacz mi! — że dzięki jedynie ich niepożądanej interwencyi nie zabiłem sztyletem hyeny w chwili, kiedy by się dostatecznie zbliżyła.

Abdallah był z natury strasznym łgarzem, jak to już miałem sposobność powiedzieć. To też moje śmiałe kłamstwo niezbyt go zdziwiło; wydało mi się nawet, że spojrzał na mnie ukradkiem z podziwem ucznia dla mistrza, co mnie pochlebiło dostatecznie.

Gdyśmy razem wracali do obozu, przyszła mi na pamięć awantura pewnego strzelca afrykańskiego, *) którego mi ongi pokazywano w wojskowym szpitalu w Tebessie. Nieszczęśliwy ten, upiwszy się w starożytnym grodzie Septima Severa, starał się dostać do swego biwaku podczas nocy. Lecz w głowie tak mu się kręciło, że padł bez zmysłów przy drodze. Zjawiła się na to hyena, która już od dłuższego czasu kręciła się przy nim. Wstrętny ten zwierz, przyzwyczajony do wykopywania trupów na poblizkim cmentarzu arabskim, zapewne aby sobie robić iluzyę, wykopał wkoło uśpionego żołnierza dół obszerny, do którego nieszczęsny stoczył się. Hyena rzuciła się wtedy na niego i od jednego ugryzienia swemi potężnemi szczękami wyrwała mu połowę twarzy. Gdym go widział w szpitalu, brakowało mu nosa, jednego policzka, a wzrok jego był zagrożony.

— Ale—odezwałem się nagle — wszak mówiłeś mi przed chwilą, że ulokowałeś się w mojem sąsiedztwie *wczoraj wieczór?* To jest niemożliwe, psi synu, ponieważ ja opuściłem obóz koło czwartej! Mówiąc to, spojrzałem machinalnie na zegarek. Wskazywał ciągle 3 minut 50. Widocznie gwałtowna jazda wczorajsza była powodem, że stanął. Zrozumiałem teraz, dlaczego świtanie kazało czekać na siebie tak długo, bo blizko sześć godzin!...

Okoliczność ta pocieszyła mnie po tej śmiesznej przygodzie, bo każdy myśliwy, wracający do domu z niczem, stara się znaleźć byle jaki pretekst, aby wytłómaczyć nim swą niezręczność lub swe gapiostwo.



*) Chasseur d'Afrique — rodzaj kolonialnego wojska francuskiego.

rzęta na pobrzeżu w pobliżu wozów, kręcące się śmiało pomiędzy kołami, z grzbietem zgiętym od uderzenia bata lub też wyczekujące na rogach ulic. Nigdzie jednak nie widzi się ich kroków zaczepnych, ani tych szalonych galopów, o których nam mówiono. Psy trzymają się zwykle nieruchomo, rzucając spokojne spojrzenia. Powoli przyzwyczajamy się do tego szczegółu otaczającego widoku; stanowi on nierozłączną całość wśród tej jedynej w swoim rodzaju mozaiki, choćby tylko dlatego, że widzi go się ciągle i na każdym kroku.

Ogólna ilość psów jest trudną do ustalenia ze względu na rozległość miasta i na niemożliwość spisu tego rodzaju. Sądzimy jednak, że podając ją na 50,000, utrzymamy się w granicach prawdopodobieństwa. Wiadomem jest tylko napewno, że zdycha dziennie w Konstantynopolu od sześćdziesięciu do ośmdziesięciu psów.

Rozdział ich w mieście i na przedmieściach nie jest bynajmniej przypadkowym, lecz jest rezultatem niezbędnego prawa. W danym kwartale ilość psów znajduje się mniej więcej w stosunku prostym do liczby mieszkańców. Stopniowanie w gęstości ich zasiedlenia daje się obserwować, począwszy od mało zamieszkanych przedmieść, aż do europejskiej części miasta, Pery, przechodząc przez Stambuł, gdzie wiele domów otoczonych jest ogrodami, gdzie zatem znajduje się dużo miejsc pustych. Tutaj widzi się całą nicość legendy, która opiewa o dobrym Turku, protegującym psy. Najbardziej zamieszkaną przez te zwierzęta dzielnicą, jest właśnie europejska, a przyczynę tego łatwo zrozumieć. W Perze domy dotykają do siebie, jak w miastach europejskich; tem samem ilość mieszkańców na danej przestrzeni jest większa, aniżeli w Stambule; więcej też jest tu odpadków kuchennych, nie mówiąc już o ich jakości. Tak więc prawo potrzeb życia reguluje rozmieszczenie psów. Prawo to panuje z taką mocą, że za przykładem niektórych krajów przeludnionych, każda dzielnica Konstantynopola posiada ilość psów prawie stałą, która się nigdy nie zwiększa. Działa tu walka o byt, mocą której słabszy zginąć musi. Zobaczymy zaraz, że dzielnice, w których liczba psów doszła do maximum, nie mogą się ratować eksportem do innych kwartałów.

Psy uliczne są różnych maści: białe, czarne, bure, rude; wszystkie jednak są mniej więcej tego samego wzrostu — czterdzieści do pięćdziesięciu centymetrów i wszystkie należą do jednej rasy, coś między naszym psem, wilkiem i szakalem, jakby przemieszanych w równym stopniu. Rasa ta jest zadziwiająco stała; zobaczymy zaraz, że domieszka krwi obcej jest tu prawie niemożliwa.

Jednym z najbardziej godnych uwagi szczegółów życia psów konstantynopolitańskich jest ich organizacya. Czytając ten wyraz, niejeden zrobi nam zarzut parodoksu lub bufonady; a jednak jest to prawdą: psy uliczne są zoragnizowane w rodzaj syndykatu i jest to najsilniejszy argument zwolenników wyższości tych psów nad ich pobratymcami Zachodu.

Szczegółem, zdradzającym tę organizacyę, jest przedewszystkiem ich rozdział po dzielnicach. Pies, urodzony w danej dzielnicy, nie wychodzi z niej prawie nigdy; i nie jest to bynajmniej rezultatem nabytego zwyczaju, że trzyma się on stale tych samych miejscowości; pies posiada dokładną świadomość granic, świadomość, która w miejscach gęsto zamieszkanych jest matematyczną; pies nie przekracza pod żadnym pretekstem pewnej ulicy lub pewnej nierówności gruntu pod grozą represyj. Jego pobratymcy z pogwałconej w ten sposób dzielnicy wypowiedzieliby mu wojnę na życie i śmierć, a rezultat jej łatwy jest do przewidzenia. Jest to prawo potrzeb życia; jedna gęba więcej do jedzenia, i w tem zawiera się cała tajemnica. Zuchwalcy, którzyby naruszyli nietykalność granicy, powróciliby w bardzo smutnym stanie.

Co się tyczy cudzoziemców, psów obcych zupełnie miastu, to nawet niema co o nich mówić; psy uliczne ulegają wtedy zapałowi patryotycznemu i narodowemu, który podnosi ich wściekłość do krańcowych granic. Pies myśliwski lub zbytkowy, gdy się pojawi na ulicach Konstantynopola, gromadzi wkoło siebie wszystkie psy-włóczęgi z całej dzielnicy, które naszczekują wściekle i gryzą intruza bez litości. Na granicy nowego kwartału ich pobratymcy biorą na siebie obowiązek eskortowania, a pod tym względem panuje jedność niepospolita. Ten dramat jednak staje się komedyą w najwyższym stopniu zabawną, kiedy na ulicach Pery ukaże się niedźwiedź tresowany lub małpa. Jest się wtedy świadkiem scen błazeńskich, o jakich się niema pojęcia. Przeciwnie zaś, psy żyją w najlepszej zgodzie z kotami, co jest w zupełnej sprzeczności z europejskimi poglądami na te stosunki.

W każdej organizacyi niezbędni są naczelnicy, więc też i psy-włóczęgi nie odstępują od ogólnej zasady. Każda dzielnica ma swego szefa, swego królika. Odznacza się on większym wzrostem, sierść ma bardziej połyskującą, a oko żywsze od innych; panuje on z całem przekonaniem swej wyższości. Ma on w sobie coś z monarchy, który umie spełniać swoją rolę. Obok pewnej powagi, zdradza on duży zasób dumy; to też rzadko kiedy raczy się poruszyć, aby przyjąć upominek lub ustąpić z drogi. Ma też poczucie położenia i dbałość o dobro publiczne. On wymierza sprawiedliwość, sądzi bez apelacyi wszelkie sprawy i wykonywa natychmiast wyroki przy pomocy zębów. Gdy zachodzi potrzeba odparcia najścia z sąsiedniej dzielnicy, zarządza obronę, prowadzi swe wojsko na miejsce walki i wybiera na swego przeciwnika szefa obozu nieprzyjacielskiego. Widzieć wtedy można walki homeryczne, kończące się zawsze ustąpieniem przeciwnika.

Niezmiernie zajmującem jest śledzenie życia psa-włóczęgi w różnych porach dnia. Rankiem włóczy się on zwykle po ulicach tam i napowrót w poszukiwaniu jadalnych odpadków na kupach śmieci. Gdy już wszystkie kąty odwiedzi, zalega na środku ulicy lub na trotuarze i nie podnosi się, chyba, że jaki wóz nadjedzie lub w chwili, gdy zajdą opisane powyżej, bardzo ważne wypadki; sygnał do tego dają mu czaty, rozmieszczone po rogach ulic. Spotyka się osobliwie na ulicach poprzecznych, gdzie ruch jest mniej ożywiony, bandy po dziesięć do piętnastu psów, leżących na bruku jedne na drugich i ustępujących z trudnością.

Ten czas odpoczynku kończy się z nadejściem nocy. Jest to chwila oczekiwana, bo wtedy wszyscy odźwierni wyrzucają wszelkie odpadki kuchenne z całego dnia. Psy trzymają się wówczas przy drzwiach, obserwując pilnie wszystkie ruchy; w danej chwili łoskot skrzynek na trotuarach ściąga spóźniających się z najodleglejszych punktów dzielnicy. Słychać wtedy chrzęst pracujących zębów, przerywany niekiedy walką pomiędzy dwoma rywalami i skomleniem żałosnem pobitego. Gdy się skończy jedna uczta, rozpoczyna się zaraz druga w sąsiedztwie i tak do czasu, aż się wyczerpią najdrobniejsze szczątki jadalne. Nie warto chyba wspominać, że intruz, który się wtedy pojawi, gorzko płaci za swoją śmiałość. A jednak dr. Remlinger, naczelnik Instytutu bakteryologicznego w Konstantynopolu, przytacza zajmujący wyjątek od tego prawidła. Pewien myśliwy był w posiadaniu suki, którą mógł wyprowadzić na ulicę tylko dzięki sprytnemu podstępowi. Odźwiernemu przyszło na myśl wyprowadzić sukę na chwilę przed wyrzuceniem resztek kuchennych. Po kilku dniach psy zauważyły, że pojawienie się suki poprzedzało zawsze ich ucztę i powoli przyswoiły sobie oba te pojęcia. Odtąd suka mogła wychodzić spokojnie: wszystkie psy witały ją z radością.

(Dok. nast.)



Ustawa łowiecka dla Galicyi.

Dnia 23 października wszedł na porządek dzienny Sejmu lwowskiego projekt ustawy łowieckiej, która w pierwotnem brzmieniu, przez Sejm uchwalonem, nie uzyskała, jak wiadomo, sankcyi z powodu zmian i po-

prawek, wprowadzonych przez ludowców. Zasady zmienionej dzisiaj ustawy przedstawiają się, jak następuje:

Komisya uznała wprawdzie, że powierzchnia 115 *) hektarów jest najmniejszą, na której może być prowadzona racyonalna hodowla zwierzyny, lecz w praktyce uchwalono ograniczyć dzielenie okręgów polowania na rewiry mniejsze, niż 300 **), względnie 500 ***) hektarów, gdyż hodowla zwierzyny da się racyonalnie prowadzić tylko na przestrzeni większej niż 300 ha., jeżeli idzie o pola i łąki, zaś większej niż 500, gdy idzie o lasy. Samoistnie mogą wykonywać prawo polowania:

1) Posiadacze nieprzerwanej powierzchni gruntu, która wynosi co najmniej 115 h. bez względu czy znajduje się ona w posiadaniu osoby fizycznej, czy prawnej, czy jednej osoby, lub we współposiadaniu więcej osób, czy grunta owe leżą na terytoryum jednej czy kilku gmin: 2) gminy, jako takie, jeśli ich grunta stanowią nieprzerwaną powierzchnię co najmniej 115 h., gminy jednak mogą wykonywać samoistne polowanie przez ustanowionych myśliwych lub przez wydzierżawienie. We wszystkich innych wypadkach tworzy ogół posiadaczy gruntów w obrębie gminy miejscowej i na obszarze dworskim, o ile kompleks gruntów wynosi 115 hkt.,—spółkę łowiecką (w miejsce dotychczasowych okręgów polowań).

Spółka łowiecka zarządza prawem polowania przez wydział z pięciu członków złożony. Uprawnionymi do wyboru wydziału są wszyscy posiadacze gruntów w obrębie tej spółki, a to tak, że posiadaczom niżej 4 h. służy 1 głos, posiadaczom od 4 — 8 h. dwa głosy, od 8 — 12 h. trzy głosy i t. d. co 4 h. o jeden głos więcej. Wydział spółki łowieckiej rozstrzyga czy prawo polowania ma być wydzierżawione z wolnej ręki, czy przez publiczną licytacyę; czy ta licytacya ma się odbyć w urzędzie gminnym, czy w starostwie. Natomiast wykonywanie prawa polowania we własnym zarządzie przez zaprzysiężonych myśliwych zależnem jest od uchwały $^3/_4$ głosów całej spółki łowieckiej, przy obecności przynajmniej $^1/_4$ uprawnionych do głosowania. Przez to postanowienie wykonywanie prawa polowania we własnym zarządzie spółki będzie wyjątkiem, lub, w razie niemożności wydzierżawienia, złem koniecznem. Nad gospodarką wydziału spółki łowieckiej czuwa polityczna władza powiatowa, która uprawnioną jest do uchylania sprzecznych z postanowieniami ustawy zarządzeń wydziału spółki, zaś w razie przekroczenia ustaw — nawet do rozwiązania wydziału.

Dalsze postanowienia odnoszą się do policyi łowieckiej. Wzupełności zachowano przepis, iż polowanie w niedzielę i święta uroczyste jest zakazane. Czas ochrony utrzymano ten sam co dotychczas; starostwo w porozumieniu z wydziałem powiatowym ma jednak prawo zarządzić nawet w porze ochronnej wystrzelanie pewnej ilości zwierzyny ze względu na interes gospodarstwa rolnego, leśnego, lub łowieckiego. Te same organy mają prawo zarządzić, aby w razie szczególnych warunków miejscowych, klimatycznych lub klęsk elementarnych, albo później rozpoczynano porę ochronną dla pewnych rodzajów zwierzyny, albo też wcześniej ją zamykano. Mogą też zamknąć zupełnie, najwyżej na dwa lata, polowanie w niektórych lub wszystkich okręgach polowania w powiecie na pewien rodzaj zwierzyny lub ptactwa, któremu grozi wytępienie.

Po dniach 14 od rozpoczęcia się czasu ochronnego nie wolno już sprzedawać nigdzie zwierzyny ani żywej ani zabitej. W razie sprowadzenia jej z zagranic kraju sprzedający musi wykazać się świadectwem pochodzenia. Świadectwo będzie też potrzebne w razie, gdyby sprzedawano zwierzynę, zabitą z upoważnienia władzy podczas okresu ochronnego.

Wynagradzanie szkód, zrządzonych przez zwierzynę należy do najważniejszych punktów ustawy. Ustawa idzie w tym względzie najdalej ze wszystkich austryackich, a zasady jej przedstawiają się jak następuje:

1) Każda szkoda, wyrządzona przez polowanie i zwierzynę na terenie polowania, musi być przez dzierżawcę prawa polowania wynagrodzoną, 2) w obejściach gospodarczych, ogrodach, sadach nie należących do okręgu polowania, każdy posiadacz może zabijać zwierzynę, będąc jej wyłącznym właścicielem, 3) w razie, jeżeli okręg polowania spółki łowieckiej nie został pomimo dwu, względnie trzykrotnej licytacyi wydzierżawionym, to wówczas za szkody, wyrządzone przez dziki do 500 metrów od granic polowania samoistnego, odpowiedzialnym jest posiadacz względnie właściciel tego samoistnego okręgu.

Ustawa nakłada na właścicieli większych posiadłości obowiązek płacenia za szkody, zrządzane przez zwierzynę na okręgach polowania przez nich prowadzonego, lecz nie dzierżawionego. Komisya podnosi z uznaniem, że własność wielka dobrowolnie przyjmuje na siebie tę ofiarę. Ocena straty w ziemiopłodach odbywać się będzie tak, że przyjmie się za szkodę tylko straty rzeczywiste, po potrąceniu kosztów, jakie poszkodowany jeszczeby musiał ponieść aż do zebrania płodów. Ustawa zmierza do tego, aby przy windykacyi odszkodowania załatwić sprawę ile możności ugodowo. Jeżeli dzierżawca nie mieszka w okręgu polowania, musi ustanowić zastępcę, u którego szkoda ma być zaraz zgłoszoną celem ugodowego załatwienia sprawy.

W razie niedojścia do skutku ugody, rozstrzygają stanowczo i bez odwołania sądy rozjemcze. Przewodniczący sądów i ich zastępcy, mianowani przez starostwo w porozumieniu z wydziałem powiatowym na lat trzy, będą zaprzysiężeni. Po zgłoszeniu szkody, przewodniczący do dni trzech obchodzi z dwoma mężami zaufania grunt, przeprowadza na miejscu dochodzenia, wzywa jeszcze raz do zawarcia ugody, a gdyby wezwanie nie odniosło skutku, rozstrzyga o wynagrodzeniu. Jeżeli mężowie zaufania nie godzą się co do szkody, przewodniczący rozstrzyga w zakresie obu sprzecznych wniosków. Wyrok otrzymują strony do trzech dni, wynagrodzenie ma być wypłacone wraz z kosztami komisyi do dni 8. Egzekucyę przeprowadza ewentualnie sąd. Apelacyi od wyroku rozjemczego niema, jest tylko zażalenie nieważności z powodu naruszenia przepisów proceduralnych, zażalenie takie wnosi się do sądu zwykłego. Brak apelacyi usunie nową przyczynę pieniactwa, jaką były szkody wyrządzane przez zwierzynę. Natomiast gdyby do dni 10 sąd rozjemczy nie wydał orzeczenia, można udać się do sądu zwykłego.

Wydział spółki łowieckiej może żądać od dzierżawcy polowania, aby złożył kaucyę na zabezpieczenie szkód. Dzierżawcą bowiem staje się bez względu na stosunki majątkowe ten, kto ofiarowuje najwyższy czynsz, szkody zaś mogą przenieść kilkakrotną sumę czynszu. Karty myśliwskie utrzymano z opłatą 10 koron na rzecz kraju. Komisya wzywa rząd, aby pilniej przestrzegał składania tych opłat. Okręgów polowań zbiorowych jest 6,000, myśliwych przeszło 20,000; mimo to, dochód kraju z tytułu kart myśliwskich wynosi tylko 26,000 kor., a powinien wynosić co najmniej 200,000 kor.

Końcowe paragrafy postanawiają, że przestrzeganie ustawy należy do władzy politycznej, oraz zawierają kary, wynoszące od 10 do 200 koron. W razie niewypłacalności zamienia się każde 10 koron na dzień aresztu.

D. 24-go października Sejm uchwalił w drugiem czytaniu nową ustawę łowiecką.



*) 115 hek. = 6,83 włóki.
**) 300 hek. = 17,85 włóki.
***) 500 hek. = 29,75 włóki.

Wyprawa myśliwska pod równik

skreślił

LEON HORODYSKI.

(Ciąg dalszy).

Ki-faru Nosorożec.

W opisach podróży i polowań stosuje się zwykle wszelkie superlatywy grozy, niebezpieczeństwa, chyżości — i t. p. do tych zwierząt, jednak analogiczne zachowanie się ich za każdem spotkaniem, utwierdza mnie w zapatrywaniu, iż są zwierzętami niebezpiecznemi dla myśliwego, ale bez żadnych superlatywów — nota bene jeżeli myśliwy jest rozważnym i spokojnym. — Siedzibą nosorożców są gęste, najgęstsze busze. W okolicach jeziora Najwascha przebywają na otwartych stepach i w tych miejscowościach kładą się na dzień, w cieniu jakiegoś przygodnie spotkanego drzewka. Moje spotkania z nosorożcami miały miejsce tylko w buszu.

Nie wdając się w opisy nieudanych polowań, zanotuję dwa wypadki, w których łowy uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem:

Było to po południu, kropił mały deszcz, należało właściwie siedzieć pod namiotem i cierpliwie czekać pogody, lecz że od dwóch dni przychodziły po sześć razy na dzień silne ulewy, przeto mały deszczyk, tak zwana u nas „szarga“, wydał się ogólnie mniej przykrym. Wyruszyłem na ośle, poprzedzany wypatrywaczem zwierzyny, w kierunku niezbyt gęstego buszu, w którym można było bez przeszkody na grzbiecie osła pozostać, bo krzaki tworzyły oddzielne klomby, między którymi tylko wysoka, po ramiona trawa rosła. Zwierzyny nie było, początkowy zapał myśliwski, podniecony dwudniowym odpoczynkiem, zaczął słabnąć w całej drużynie, a uwaga, skierowana początkowo na otaczającą przyrodę, zaczęła powoli, ale coraz bardziej skupiać się około spadających kropel z kapelusza, twarzy i brody, nasuwając coraz bardziej myśl powrotu. Nagle postępujący przodem czarny, kiwnął ręką i schował się w trawy. Zeskoczyłem z osła, chwyciłem broń i wysunąłem się naprzód. Z zarośli wychylała się na 40 metrów odległości, czarna masa.

Nie było czasu na obmyślenie jakiej skomplikowanej akcyi, w następnej chwili mógł zwierz posunąć się i zniknąć na zawsze. Postanowiłem go zaczepić i strzeliłem w masę, nie zdając sobie sprawy, w jakie miejsce strzelam. Nosorożec rzucił się w krzak, po chwili wyskoczył z drugiej strony, węsząc i szukając napastnika.

Cała moja drużyna poszła w rozsypkę, ja oglądnąłem się także za grubym pniem i strzeliłem drugi raz. Ryk wściekłości odpowiedział strzałowi i nosorożec ze zdwojoną szybkością oddalił się, szukając nieprzyjaciela pod wiatr.

Nabrawszy przekonania, że nie powraca, udałem się na miejsce, aby skonstatować ilość sztuk po tropach, bo przerażeni krajowcy utrzymywali uporczywie, że były dwie sztuki i że ja do obu strzelałem. Ze śladu pokazało się, że był tylko jeden nosorożec, że biegał w ciągłych zygzakach, ale posuwał się stale pod wiatr. Z powodu zasępionego nieba, noc wcześniej zapadała, wróciłem więc do obozu.

Na drugi dzień wschodzące słońce zastało nas na tropie nosorożca, a po półgodzinnym marszu znalazł strzelec farbę,—oczywiście farbę z pyska, bo przecież rany na skórze calowej grubości być nie mogło. Dalej przy farbie była piana, potem piana zafarbowana, wreszcie po dwugodzinnym marszu, znaleźliśmy kolosa już nieżywego pod krzakiem.

Polowanie na drugiego nosorożca, którego ubiłem, rozpoczęło się z rana. Niedaleko obozu spostrzegł strzelec świeży trop. Ponieważ mieliśmy cały dzień przed sobą, można było zaryzykować pościg i jak było stale postanowionem, na szukanie nosorożców drużyna odpowiednio się uszykowała. Na przodzie szedł w takich razach Amumadi, który okazał się przy spotkaniach najodważniejszym i najlepszy miał wzrok. Amici aczkolwiek był Swahilim, chętnie odstępował pierwszeństwo Amumadzemu, w wypadkach, gdzie skóra mogła być nadwerężoną.

Ponieważ te imiona często przychodzą, muszę objaśnić, że Amici i Amumadi, stale codziennie z nami wyruszali na polowania i nosili strzelby, resztę ludzi odkomenderowywał Muniampara co dzień po kolei. Wskutek ciągłego obcowania z nami Amici i Amumadi, lepiej mnie rozumieli od innych, a żargon, którego używałem, składał się z kilku słów Swahili, kilku angielskich, włoskich, nawet przyznam się, polskich i ruskich i jakoś to szło. Posuwaliśmy się za tropem przez gąszcze, czasami trop wychodził na duże łąki, by znów wejść po niejakimś czasie w zarośla. Taki teren był dla mnie bardzo dogodny, bo naprężenie i uwaga skupiona, podczas pochodu przez gąszcze, gdzie nosorożec mógł się każdej chwili ukazać, folgowały podczas przechodu łąk i dopuszczały na pewien rodzaj odpoczynku „detencyi“.

Kilkakrotnie spotykaliśmy legowiska; w jednem miejscu na łące nosorożec wykąpał się w kałuży i ścieżka szła dalej i dalej. Po trzygodzinnym, pośpiesznym marszu, przeszliśmy jeszcze jedną długą polanę i dochodząc do następnego buszu, spłoszyliśmy nosorożca, który porwał się na 15 metrów od nas, fuknął, uszedł na kilkadziesiąt metrów i stanął. Po trzasku gałęzi poznaliśmy, że było ich dwa, to samo potwierdziły tropy, z tem uzupełnieniem, że obie sztuki były duże. Ostrożność podwójną należało zachować, aby goniąc za jednym, nie natknąć się na drugiego, bo wtedy ratunkuby nie było.

Zatrzymałem strzelca, aby uniknąć niepotrzebnego odgłosu kroków, a sam poprzedzany przez Amumadiego, skulony, biegłem tunelem, świeżo zrobionym przez nosorożce. Tunel taki w buszu ma ściany nie do przebycia... Busze, złożone z kolczastych krzewów, sansewiery i kaktusów, są przystępne tylko dla nosorożców, nie nadwerężających sobie skóry torowaniem ścieżek i te pozostają potem czas dłuższy dostępnemi. Dwa razy dognane przez nas nosorożce, posuwały się dalej i stawały, nareszcie, gdyśmy trzeci raz dochodzili, było im tego widocznie za wiele, chciały poznać napastnika. — Gałęzie zatrzeszczały w kierunku ku nam, Amumadi wcisnął się w ścianę tunelu i skulił w kłąbek, wskazując ręką na ruszający się krzak. W chwili następnej ujrzałem ogromny łeb nosorożca. Powracał swoim śladem i węszył, gotów roznieść nieprzyjaciela. Korpusem całą ścieżkę zagradzał. Ucieczka w bok niemożliwa, w tył bezcelowa, w takiem położeniu więc, dwie tylko ewentualności: celny strzał lub zmiażdżenie przez nosorożca. Za ukazaniem się jego, już byłem złożony, klęcząc na jednem kolanie, w pierwszym momencie strzelić nie mogłem, bo ryj i róg zasłaniały mniejszą stosunkowo czaszkę, w którą jedynie strzał działa piorunująco; chciałem się podnieść, lecz nosorożec w tej chwili obrócił łeb trochę w bok, pociągnąłem za cyngiel i zwierzę posunąwszy się odruchowo naprzód, o całą długość, zwaliło się na ziemię, o 7 metrów od nas, gdy jeszcze wstać próbowało, drugą kulę do pierwszej dodałem.

Następnie obaj z Amumadim, instyktownie, prawie równocześnie, przyskoczyliśmy do nosorożca, aby korzystając z uczynionej cielskiem tamy, schować się przed drugą sztuką. Trzask łamanych gałęzi obszedł nas półkolem—i ustał; zwierzę nasłuchiwało—cisza trwała kilka minut, potem znów rozpoczął się trzask gałęzi i drugi nosorożec oddalił się. Strzelec z Amicim niebawem nadeszli i posłałem za osłem i resztą ludzi, którzy daleko pozostali. Po ich nadejściu przystąpiliśmy do zdejmowania skóry, co nie jest rzeczą łatwą, ciężar zwierza i sztywność skóry utrudnia w wysokim stopniu tę operacyę. Oznaczyłem miejsca, w których mają być pancerze rozcięte, poczem wszyscy rzucili się do dalszej roboty.

Korzystając z wolnego czasu, zjadłem śniadanie ze strzelcami i położyliśmy się na odpoczynek. Po kilku godzinach, gdy ludzie ukończyli żmudną czynność koło

rozbierania nosorożca, przystąpiono do rozdziału ciężarów, jednak, że trudno było matematycznie równe ciężary ułożyć, powstały kłótnie i targi, które aż o mnie się oparły. Niezwykle ciężkiemi, całkiem nawet nieproporcyonalnie do innych części, okazały się nogi. Jeden człowiek nie mógł unieść więcej, jak parę, chociaż przeważna część mięsa i kości były wyjęte. Dziesięciu ludzi z wielką biedą zdołało zabrać całą skórę, a w drodze powrotnej do obozu miałem jeszcze wiele kłopotu z tymi, którzy nieśli głowę i skórę grzbietową, te ciężary były za wielkie i trzeba było ludzi zmieniać kolejno.

Noc już zapadła, gdyśmy doszli do obozu. Szczegóły powyższe podaję z tego powodu, aby dać miarę wagi zwierzęcia. W pochodach ludzie noszą łatwo 27 do 30 kilogramów i nie uskarżają się, trofea nosorożca mogły ważyć około 400 kilo, liczę po 40 klgr. na człowieka. Ozór okazał się bardzo dobrym, podobny w smaku do wołowego.

Oryginalny materyał mają nosorożce w nogach, bezpośrednio nad podeszwą. Jestto masa ciężka, biała, posiadająca elastyczność gutaperki, a zadaniem jej jest zapewne wywoływanie elastyczności ruchów zwierzęcia, a może znieczulenie przebicia podeszwy jakim kolcem. W tej masie nie widać ani muszkułów, ani ścięgn i w ogóle nie wygląda na składnik żywego stworzenia. Myliłby się, ktoby sądził, że nosorożec jest wolny od napaści innych zwierząt; oczywiście temi zwierzętami nie są ani lwy, ani pantery, lecz owady. Na wszystkich delikatniejszych miejscach skóry znajdują się pasorzyty, podobne do naszych kleszczy, zakrywają one tak szczelnie te miejsca, że robią wrażenie skóry pomarszczonej, a nie odleciały nawet w obozie, po wypłukaniu pancerzy w wodzie. Drugi jakiś owad wgryza się w skórę wierzchnią i powoduje rany. W wewnętrznych organach znachodziłem zadziwiającą ilość poczwarek i robaków kilku odmian, które z pożywieniem do środka się dostały.

(C. d. n.)



Próby polowe wyżłów
w Stanach Zjednoczonych.

Jeden z amerykańskich korespondentów francuskiego czasopisma „La Chasse Illustrée“ nadesłał niektóre dane, dotyczące prób polowych wyżłów angielskich w Stanach Zjednoczonych. Sądząc, że szczegóły dotyczące tego przedmiotu, mogą zainteresować naszych czytelników, podajemy je tu w całości.

Wszystkie przedwstępne czynności dotyczą układów z właścicielami hotelów oraz wyboru sędziów. Należy zawczasu zamówić miejsca w wagonach, oraz konie; wydrukować i rozesłać osobom interesownym karty zaproszeń; ustalić na jesieni daty field-trial'u, aby sportsmeni mieli czas wydoskonalić tresurę swych psów, przeznaczonych na konkurs.

Sekretarz każdego z towarzystw field-trial'ów jedzie na miejsce o dzień lub dwa wcześniej, aby wszystko było doprowadzone do należytego porządku.

Próby odbywają się zwykle w sąsiedztwie miasta, posiadającego hotele, gdzie licznie napływający uczestnicy mogą znaleźć należyte wygody. Wybiera się też miejsce dostatecznie odkryte (bez lasów), gdzie nadto zwierzyna znajduje się w obfitości.

Ptakiem przeznaczonym do roboty psów jest stale t. zw. przepiórka wirginijska *(Bob-White)*. *)

Celem konkursów jest wyróżnienie psów najszybszych, których sposób szukania *(la quête)* posiada najwięcej metody i stylu, a zarazem najwytrzymalszych, wykazujących najwięcej inteligencyi przy szukaniu zwierzyny. Sędziowie mają zatem do spełnienia zadanie bardzo delikatne, a często nie do pozazdroszczenia.

Na sześć tygodni przed konkursem sekretarz rozsyła wszystkim członkom towarzystwa field-trial'ów, jak również innym osobom interesowanym, karty zapisów *in blanco*, na których muszą być wniesione: rasa, nazwa psa, płeć, data urodzenia, pochodzenie, jak również konkurs, w którym pies ma brać udział: Derby, lub konkurs psów wszelkiego wieku *(free for all)*.

Cena zapisu do każdego konkursu wynosi zwykle 5 dolarów (około 10 rubli) i powinna być przesłana sekretarzowi jednocześnie z kartą zapisu.

W wilię konkursu po południu, osoby posiadające psy gotowe, powinny zapłacić na ręce sekretarza dodatkową sumę 10 dolarów (około 20 rb.) aby uzyskać t. zw. prawo puszczenia *(Starting Free)*. Skoro ta kwota zostanie wniesioną, nazwa psa zostaje wypisaną na skrawku papieru i włożoną do kapelusza. Skoro wszystkie psy, mające brać udział w konkursie, zostaną opłacone, następuje losowanie ich przez ciągnienie kartą.

Losowanie to obudza zawsze żywe zainteresowanie gdyż od niego zależy w jakiej porze dnia pies będzie próbowany. Rezultat losowania zostaje wywieszony w miejscu widocznem, gdzie każdy interesowany może się poinformować.

Następnego dnia bardzo wcześnie wszyscy są już na nogach. Jest godzina 7 rano, konie czekają posiodłane, psy pakuje się do powozów, zjada się naprędce śniadanie i zwykle o godzinie 9-ej wszyscy znajdują się już na miejscu, przeznaczonem na próby, odległem zwykle o 3 do 8 kilometrów.

Prawidła stosowane do konkursów w Ameryce nie różnią się zasadniczo od reguł francuskich. Nie warto więc zastanawiać się dłużej nad niemi.

Publika, pragnąc zobaczyć robotę psów zblizka, podsuwa się niekiedy tak dalece, że komisarze prób z trudnością mogą ją utrzymać na przepisanej odległości 50 jardów.

Prowadzący psy posuwają się przed sędziami, przyczem wolno im jest iść piechotą lub jechać konno. Sędziowie dosiadają koni.

Skoro stójka którego z psów zostaje zasygnalizowaną, wszyscy dążą na miejsce, nie kłopocąc się bynajmniej o reguły. Jeden z psów stoi nieruchomie, drugi sekunduje mu w dobrym stylu. Treser, którego pies zrobił stójkę, podchodzi na rozkaz sędziego do psa, aby nie dopuścić do jakiego fałszywego ruchu. Wtedy wszyscy oczekują wzlotu ptaka, a skoro ten się poderwie, pada strzał, aby się przekonać, czy pies wytrzymuje stójkę przy strzelaniu i przy poderwaniu się zwierzyny. Aportowania nie wymaga się na tych próbach, gdyż powszechnem jest przekonanie, że pies aportujący nie może wytrzymać należycie stójki podczas wzlotu ptaka. A nadto próby aportowania przedłużyłyby zanadto czas konkursu, który nie może trwać dłużej nad cztery do sześciu dni.

Próby odbywają się w ten sposób przez dzień cały. Psy, które popełniły błędy i zostają wycofane, według miejscowego wyrażenia „połamały sobie karki“. Próba dla każdej pary psów trwa czterdzieści minut.

Psy próbowane w pierwszym turze, zostają jeszcze raz parami w drugim turze, aby dać możność sędziom upewnienia się co do ich wartości.

Niema wątpliwości, że pomiędzy psami wycofanymi znajdują się psy doskonałe; są to ofiary nieszczęśliwego wypadku; ponieważ jednak konkursy tego rodzaju są bardzo liczne w krainie dolarów, przeto pies obdarzony wymaganemi zaletami (styl, rozciągłość pola, metoda i inteligencya w szukaniu, wytrzymałość, dobry wiatr, wytrzymałość stójki) potwierdzi je sobie prędzej czy później na terenie konkursowym.

Najprzyjemniejszą chwilą całego dnia jest „lunch“, sprowadzony do sąsiedniej fermy stosownie do instrukcyi, danej przez sekretarza starszemu garsonowi hotelu, w którym naznaczona była schadzka. Każdy śpieszy, aby

*) *Bob-White (Ortyx virginianus)* — ptak wielkości między przepiórką a kuropatwą. *(Przyp. tłomacza).*

oddać należyty hołd licznym materyałom spożywczym, obficie rozstawionym na stole.

Po śniadaniu wszyscy siadają na koń, aby towarzyszyć próbom. Skoro nadejdzie wieczór, uczestnicy konkursu zbierają się w hotelu, gdzie ich czeka doskonała kolacya i wesoły ogień na kominkach. Taki jest porządek aż do końca konkursu.

Zwykle wieczorem, gdy wszyscy są zebrani w hotelu, odbywa się doroczne posiedzenie Towarzystwa. Debatuje się wtedy nad różnemi sprawami, wybiera się nowych członków, ustanawia się datę i warunki przyszłych konkursów.

Niektóre towarzystwa ustanawiają cztery próby:

1. *Derby* — przeznaczone jedynie dla psów należących do członków towarzystwa i urodzonych po 1-ym stycznia roku poprzedniego.

2. *Konkurs psów wszelkiego wieku* — przeznaczony dla psów, należących do członków towarzystwa.

3. *Derby* — otwarte dla wszystkich psów młodych.

4. *Próba otwarta dla psów wszelkiego wieku* (bez ograniczeń).

Niekiedy zapisy pozwalają na ustanowienie *próby na championat,* przeznaczony dla najlepszego psa z pomiędzy próbowanych na różnych konkursach.

Pieniądze wpływające z zapisów, są zwykle rozdzielone jako nagrody; zwykle club wyznacza z własnych funduszów 400 do 600 dolarów (800 do 1200 rb.) na każdą próbę, w nadziei, że pieniądze z zapisów i ze *Starting Free* pokryją ten awans.

Hodowcy starają się wszelkiemi siłami, aby ich przychówek rodził się jaknajbliżej 1-go stycznia, a to w celu, by psy mogły brać udział w *derby*. są one bowiem wtedy dostatecznie wyrośnięte i rozwinięte, ażeby módz przejść całą tresurę w sezonie następnym. Robota psów młodych jesienią na kurach preryj pozwala wnioskować, co one będą warte przy robocie na przepiórkach wirginijskich.

J. S.

(Dok. nast.)



Broń myśliwska przed 100 laty w Polsce.

(Ciąg dalszy).

O nabijaniu fuzyi i prawidłach w strzelaniu.

Po wsypaniu miary prochu, rura zatyka się kłakiem, i ten sztęflem bez zbytecznego przybijania szczelnie się tylko osadza: albowiem przez mocne przybijanie kłaku ziarna prochowe rozcierają się i moc swoją w rychłem zapaleniu osłabiają. Fuzyę w czasie wsypania prochu z ładunku lub miarki do rury, trzymać wylotem do góry w linii prostej: a to, aby proch nie opierał się i nie zatrzymywał o ściany wewnątrz rury, a szczególniej po wielu wystrzałach, gdy będzie wilgotna. Aby proch dobrze w miejscu swem osiadł, antabą kolby o ziemię zlekka uderzyć po przybiciu prochowego kłaku, sypie się także z dobranej miary szrót, przytrzymując fuzyę ręką prawą przy zamku, wstrząsając ją dla osadzenia szrótu: kłak zaś szrótowy sztęflem zlekka szczelnie dosunąć, aby w czasie chodzenia lub przeskakiwania rowów, szrót kłaku nie używać, bo przez to umniejszałby się impet szrótu, i w przedmiocie byłby rozrzucony, jako też trącenie fuzyi znacznieby się powiększyło. Dla tego dogodniej jest, aby fuzyą nabitą utrzymywać wylotem do góry: albowiem przez to najpowolniejszy kłak nie odejdzie, i od częstych przypadków kalectwa, z okazyi złego zamku w fuzyi, zastrzega.

Wilgocenie śliną kłaku szrótowego (jak wielu robi) znajduję nieużytecznem: bo wilgoć do rury przylega, rdzawieje, i łatwe wypędzenie kłaku utrzymuje.

Zaraz po wystrzale, panewkę i dekiel pakułkami przetrzeć i zapał pierwej drucikiem, a później piórkiem ze skrzydła kuropatwy przetknąć. Przetykanie to za każdym strzałem powtarzać: bo po spłonieniu prochu, znajdujące się cząsteczki węgla, otwór zapału tamują, a tak nabój zostanie cały i tylko z panewki się spala. Ta nieakuratność dla każdego myśliwego bywa nieznośną, a na polowaniu na zwierzęta drapieżne niebezpieczną. Póki rura ciepła prędko nabijać: bo za ostygnieniem znajdująca się wilgoć część prochu do ścian rury przyciąga, i za pomknięciem kłaku w dół posuwa proch wilgotny do reszty suchego, pozbawiając własności zapalnych. Strzelający wiele stąd dozna niewygód: bo powolne i niejednostajne następnie zapalenie się prochu, bywa okazyą schwycenia wprzód ognia z panewki, a później z rury, a nim to nastąpi zwierzyna zemknie, zostawując wystrzał nadaremny.

W nabijaniu fuzyi naprzód dekiel spuścić na panewkę, a po nabiciu uważać czy przez zapał wysypały się ziarna prochowe: jeżeli nie, uderzyć dłonią z przeciwnej strony zamka, aby część prochu z naboju przeszła do panewki, i resztę dosypać wedle potrzeby. Im proch jest cieńszy, tym pewniejszy. Jeśliby był zapał za wielki, a proch cienki, i znaczna część naboju przeszła do panewki; w takiem zdarzeniu, wielu myśliwych wprzód na panewkę, a później nabijają (lecz wiedzieć naprzód potrzeba czy zamek w wałku jest pewny, i za odprowadzeniem kurka daje się słyszeć łuszczenie orzecha). Gdy zaś tego wszystkiego w źle utrzymywanej fuzyi spodziewać się nie można, lepiej dla bezpieczeństwa wprzód nabijać, a potem do panewki prochu podsypać, i gdy po otworzeniu dekla, część prochu do panewki przejdzie; pewnym być można, że zapalność jak w panewce tak i w rurze jednostajnie nastąpi.

Czas jesienny pospolicie bywa słotny i wilgotny; w ta kim razie dobrze jest mieć kołnierz wiszący czyli płaszczyk myśliwski (w 1813 r. był zwyczaj noszenia płaszczyków kołnierzem zwanych: bo te do surduta lub fraka mogły się przypinać) w pół osoby długi, którym wygodnie część kolby i zamek fuzyi ocalić od zamoczenia można: zwłaszcza, że suknia ta ułatwia prędkie złożenie się myśliwemu: bo obwiązanie zamku, lub nakładanie na futeralika, może być wielką przeszkodą w kniei do prędkiego złożenia się do strzału.

Nie należy nabijać dwiema kulami, a tem więcej trzema; nabój taki ciężyłby zbytecznie ilość prochu, a oprócz trącenia strzał nie mógłby daleko sięgać. Nie mniej glotem czyli grankulkami (grankulka dla tego zowie się u myśliwych, że ma postać graniastą z posiekanej kuli na 6 lub 8 części) dobrej fuzyi nie nabijać: bo w strzelaniu rozsiewają i rurę psują; natomiast brać loftki, czyli maleńkie kuleczki foremne i okrągłe. Te bywają mniejsze i większe: tyle ich dawać za nabój, ile ma wagi kula, a tak strzał będzie ostry i bez trącenia.

Przestrogi dla strzelających.

Komuż z myśliwych nie wiadomo, że każdy nabiera przez częste strzelanie właściwej sobie zręczności w przykładaniu się i celowaniu? Nie wszyscy jednostajnej będąc figury, niejednostajnego kształtu obierają fuzyę. Chociaż dobrze doświadczony myśliwy z każdej fuzyi dobrze strzela; jednak nie zawsze znajduje łatwość i zręczność w opieraniu kolby o ramię. Dla tego następujące podają się warunki. Dla strzelca urody słusznej, mającego ręce długie, potrzeba i kolby dłuższej: przykład mniej zakrzywiony przypada więcej dla strzelca mającego wysokie plecy i krótką szyję. Dla innego zaś z niskiemi ramionami i dłuższą szyją, lepszy jest więcej zakrzywiony; inaczej w przycelowaniu się musiałby głowę nachylić, i z trudnością mógłby się złożyć do strzału jakiego się wymaga w strzelaniu zwierzyny w biegu, a szczególniej lecącego ptastwa. Aby się dobrze przycelować, i fuzyę w czasie strzału od trącenia utrzymać, należy dobrze kolbę w ramię

opierać: co tem trudniej będzie dopełnić, im warunki kształtu fuzyi, stosownie do figury strzelca, nie będą zachowane.

Nie wchodząc w obszerne szczegóły pomienionych prawideł, które wielu podlegają odmianom: życzyłbym każdemu z myśliwych wybierać z kolbą dłuższą i więcej zakrzywioną. Dłuższą kolbą zręczniej można opierać w ramie, szczególniej kto jest przyzwyczajony w czasie strzału trzymać fuzyą blizko bączki pokrywającej cyngiel. Rzemieślnicy nawet uprzedzając myśliwych, aby w miejscu utrzymywali fuzyę, dają w osadzie małe narżnięcie, tak między zamkiem a bączką, jak i w schyleniu kolby; a tak już z miejsca swego myśliwego nie porusza, i łatwo w czasie strzału wytrzymać się daje.

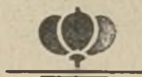
Przykładając się do strzału, trzymać fuzyę lewą ręką w bliskości zamku, i ręką prawą trzymając w samem zakrzywieniu kolby, palcem większym odprowadzać kurek, palcem zaś ukazującym pociskać cyngiel dla strzału. Kurek odprowadzać tylko wtenczas, gdy potrzeba dla strzału; nie zaś, jak wielu zwykło czynić, nie widząc zwierzyny a tylko słysząc głos psów, wnet kurek na ostatni stopień odprowadzają i zwierza w kniei oczekują, gdy i później przez zapomnienie nie sprowadzą, w chodzeniu często kalectwa, a dla wielu i śmierć nie raz się wydarza. Unikając zatem okropnych wypadków, wygodniej i bezpieczniej jest, z momentem przykładania się do strzału, kurek na ostatni stopień odprowadzić.

Nie jedną tylko fuzyą naprowadzać na kierunek strzelającego się ptactwa lub zwierzyny, lecz całą budową strzelca, tak, jakby fuzya ze strzelcem jedno ciało stanowiło. W momencie zaś złożenia się wprzód okiem lewem rzucić na wyrżnięcie kamerszruby, i od tej w linii prostej przez celik do zamierzonego przedmiotu skierować. Dobrze jest strzelać mniej niż zwykle, przymrużając lewego oka: bo łatwiej jest rychło się przycelować, i mając fuzyę dubeltową, drugi raz strzelić.

Dopiero poznać należy, ile jest nieodbicie potrzebna sprawność w poruszeniu rąk, i bystry wzrok: bo gdzie miejsce nie dozwala dobrze się przycelować do ptastwa lecącego, które przez opieszałość strzelca znacznie oddala się; tam strzelać równo z przyłożeniem należy: bo wątpliwość czy się celnie przyłożyło, albo czy jest za odległa meta, pozbawia zdobyczy. Gdy się zwierzyna oddali w czasie spłoszenia cietrzewi, kuropatw, i innego ptastwa chyżo z pod nóg w gajach albo miejscach drzewami zarosłych zlatującego, i w gęstwiny skrywającego się; wtenczas nie dozwalać podnosić się wysoko od ziemi, owszem czemprędzej strzelać do niej należy.

Jeżeli zaś to się zdarzy w miejscu otwartem, gdzie nie ma żadnych przeszkód; każdy z doświadczonych strzelców wie do jakiej mety może dozwolić zwierzynie odleciec, i kierunek w locie chwiejącym się naprawić, lub nawet opodal z pewnością strzelić. Kto gorąco i wraz z poruszeniem do kszyków strzela, najczęściej rzadko trafia: bo one w samem wzruszeniu z miejsca mają lot chyży i w różne strony chwiejący się. Umiejętne strzelanie nie przez jedną nabywa się teoryę, lecz wymaga częstej praktyki. Żeby zostać dobrym strzelcem, od młodości przykładać się do tej sztuki należy, póki sprzyja bystre oko, siła i giętkość muskułów. W tym najdroższym czasie gdy z pilną ochotą połączy się częste i staranne strzelanie, doprowadzi siebie do pożądanej doskonałości. Człowiek bowiem bez determinacyi i latami obciążony, powolnych ruchów, nie może dojść do dobrego strzelania: bo będąc zniechęcony częstem pudłowaniem, poczyta za najtrudniejsze dla siebie przedsięwzięcie i porzuci strzelanie.

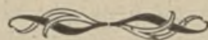
(C. d. n.)



Z WĘGIER.

Z wyjątkiem rewiru Retyezater w komitecie Hunyad, Węgry mają niewiele rewirów obfitujących w gemzy. Ale i w tych nielicznych rewirach gemzy nie są pielęgnowane należycie. Pomimo to jakość trofeów gemzowych z południowo-wschodnich Karpat nie zostawia nic do życzenia. Niedawno powstało tu towarzystwo zwolenników polowania na gemzy pod przewodnictwem hrabiego Imre Karolyi i hrabiego Miklos Keglevich. Towarzystwo ma na celu opiekowanie się zaniedbanymi dotychczas rewirami gemzowymi na wschodzie Węgier, nad granicą Siedmiogrodzko-Rumuńską. Rewiry te znajdują się w okolicy Fogarase i obejmują prawie niedostępne pasma gór Bucseru i wzgórze Kiralylsö.

Ciekawe szczegóły dochodzą o tegorocznym ciągu słonek na Węgrzech. Pierwsze słonki widziano już d. 22 lutego w lasach barona Inkey pod Pogany-Szentpeter. Ciągnęły milcząco. Następnie ujrzano je w parę dni później pod Mesztegnye w komitacie Somogye. Dopiero jednak d. 8 marca zabito pierwsze słomki w dominium hrabiego Pejacsevich pod Nasicz. W rewirze tym ostateczny rozkład wszystkich słonek, zabitych do dnia 1 kwietnia, doszedł do pokaźnej liczby 340 sztuk! Wobec tego, że na wiosnę roku 1907 pierwsze słonki zabite zostały dopiero d. 22 marca, termin tegoroczny był przyśpieszony o 14 dni. W ogólności jednak liczba tegorocznych słonek, na ciągach marcowych nie była dość znaczna. Natomiast rozkłady były stosunkowo wszędzie dobre. W pierwszych dniach marca w lasach księcia Ypsilanti w komitacie Somvar zabito kilka sztuk jednego dnia. W drugiej połowie marca podczas stale pięknej pogody widziano i słyszano ciągnące słonki w wielu okolicach Węgier, głównie jednak w okręgach, najbardziej nawiedzionych ciągami słonek, między Dunajem a rzeką Drava oraz jeziorem Balaton. W połowie kwietnia słonki ciągnęły dalej na północ Węgier, skąd udały się do właściwych swych krajów rodzinnych.



Z literatury myśliwskiej.

Dzieło arcyksięcia Józefa.

Niedawno ukazała się książka, zatytułowana jak następuje: „W kniejach afrykańskich. Obrazy myśliwskie z Sudanu przez arcyksięcia Józefa austryackiego. Wydane nakładem Camillo Morgana“.

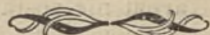
Wydanie odznacza się prawdziwie estetyczną powierzchownością. Treść daje wybornie pojęcie o tem, z jakimi trudami i niebezpieczeństwami związane jest polowanie na grubą zwierzynę afrykańską nad Nilem i w Sudanie.

A wszelkich tych niebezpieczeństw doznawał nietylko jego cesarska wysokość, lecz także jego małżonka, arcyksiężna Augusta z prawdziwie myśliwską odwagą i odpornością. Nie zważali też na różne choroby, grożące organizmowi w tamtych stronach świata.

Nieduże rozmiarami dzieło zostało napisane z wytwornym objektywizmem i widocznem jest, że absolutna prawda kierowała piórem, kreślącem rozmaite obrazy myśliwskie. Opisy natury, wschodu i zachodu słońca, brzasku dnia i jego zmierzchu, niezliczonego ptactwa rojącego się na wybrzeżach Nilu, — nazwać można iście klasycznymi.

Polowania na hippopotamy w Białym Nilu, z których oboje dostojni myśliwi ubili 4 sztuki, a z tego arcyksiężna — jedną, — świadczą, jak wielkie niebezpieczeństwo przedstawia ten rodzaj polowania. Wyborne zaś zdjęcia fotograficzne pozwalają nam między innemi podziwiać wizerunek dostojnej łowczyni obok jej potężnego łupu.

Oczywiście mało który ze zwyczajnych śmiertelników może się zdobyć na takie środki pomocnicze na polowaniu, ale tem niemniej ciekawe są opisy polowań na kozły wodne, antylopy, bawoły i lwy. Każda stronnica zaciekawia czytelnika, każdy obraz przykuwa do siebie wzrok ludzki, słowem znać w tem dziele wielką dostojność autora królewskiego.



Strzelanie do gołębi.

Mróz i śnieg w ciągu kilku dni uniemożliwił strzelanie do gołębi, ale skoro tylko ukazało się słoneczko i powietrze ociepliło się o tyle, że można było niegrabiejącymi palcami pomacać cyngiel, na placu znów ozwały się strzały.

Sezon się już właściwie skończył, jednak komisya strzelecka Koła sportowego, korzystając ze sprzyjającej pogody, postanowiła w dzień św. Huberta, jako patrona strzelców i myśliwych, urządzić konkursowe strzelanie, przeznaczając dochód z tego dnia na cel dobroczynny, mianowicie na Czytelnię ludową dla robotników przy ul. Czerniakowskiej. Że jednak niema karesu bez interesu, przeto korzystając ze spodziewanego zjazdu sportsmenów na ten dzień strzelania, Komisya zaprojektowała strzelanie i na dzień następny.

Propozycye tych konkursów są następujące:

Wtorek, d. 3 listopada: Nagroda im. św. Huberta, handicap, na 6 gołębi i 4 dublety. Wpis 10 rb. Do nagrody wymagane są 4 gołębie rzędowe i jeden pełny dublet — po za tem rozstrzyga o nagrodzie ilość zabitych gołębi. Nagród wyznaczono tu trzy: I — przedmiot i 25 rb., II — 25 rb., III — 10 rb. (stawka). Bez 10-ciu strzelców nagroda nie będzie rozegrana.

Środa, d. 4 listopada: Nagroda procentowa dla strzelców, którzy nie wygrali żadnej nagrody na stendzie warszawskim i których procent zabitych w r. b. gołębi na placu Koła sportowego nie dochodzi do 80 proc., co znaczy, że mający do 79 proc. mogą stawać do tego konkursu, zaś mający 80 proc., już są wykluczeni. Tu też obowiązywać będzie handicap, na 6 gołębi bez ograniczenia seryi. Stawka 5 rb. Nagrody: I — żeton i 50 rubli, II — 30 rb., III — 20 rb. Bez 8-miu strzelających nagroda nie będzie rozegrana.

Strzelanie w oba dnie rozpoczynać się będzie o godz. 12 i pół punktualnie.

Niezależnie od nagród rozegrywane będą w obydwa dnie pule zwyczajne i handicapowe.

Z placu.

Dnia 25 października.

Pula, (handicap), na 5 gołębi. Wpis 5 r. I 75%.
P. Jan Zaborowski 26 m. — 5/5.
Uczestników było 3.

Pula, (handicap), na 5 gołębi. Wpis 5 r. I 75%.
P. Antoni Wolski 26 m. — 5/5
Uczestników było 3-ch.

Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis 5 rb. — I 50%, II 25%.
Pp. Stefan Zaborowski 25½ 1111 — 4/4.
Stanisław Zaborowski 25½ 11101 — 4/5.
Uczestników było 6-ciu,

Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis 5 rb. I 50%, II 25%
Pp. ks. Ludwik Czetwertyński 26 m. 24/24.
hr. Stanisław Plater-Zyberk 25 m. 23/24.
Uczestników było 6-ciu,

Pula, (handicap), na 1 gołębia. Wpis 5 rb. I 50%, II 25%.
Pp. Antoni Wolski 26 m. 11/11.
ks. Lud. Czetwertyński 26 m. 11/11.
Rozgrywali się w następnej puli i I nagrodę wziął p. Wolski, II ks. Czetwertyński. Uczestników było 6-ciu

Pula, (handicap), na 1 gołębia. Wpis dowolny (5 i 10 rb). I 75%.
Hr. Henryk Plater 23 m. 13/13 (33 rb. 75 k.),
Uczestników było 5-ciu

Pula dubletowa, na 24 m., na 3 dublety. Wpis 5 rub. I 75%.
Hr. St. Plater-Zyberk 1/1 1/0 1/1 — 5/6.
Uczestników było 4-ch.

Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis 10 rb. I 75%.
Hr. St. Plater-Zyberk 25 m. — 4/4
Uczestników było 4-ch.

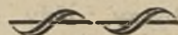
Pula, (handicap), na 3 gołębie. Wpis 10 rb. I 75%.
Hr. St. Plater-Zyberk 25 m. — 13/13.
Uczestników było 4-ch.



Z Towarzystwa prawidłowego myślistwa.

Posiedzenie Wydziału Ochrony i Polowań, 23 października. Wydział postanowił w bieżącym sezonie myśliwskim urządzić 7 polowań zbiorowych dla Członków Tow., z tego 5 na terenach Osieckich, 2 na terenach Miedzeńskich. Polowania te odbędą się w następujących terminach: 20-go listopada—na terenie Lubice, 28-go—Tchórzowa, 5-go grudnia—Pogorzel. 12-go—Łucznica górna, 19-go—Jartypory, 9-go stycznia—Sobienie Dworskie, 16-go—Warszewice. Na wszystkich tych polowaniach będzie miejsc 109 dla Członków. Dla Jartypór, Sobień i Warszewic, w razie nieodpowiedniej pogody, terminy będą zmienione. Kancelarya przyjmuje zapisy na te polowania od 26 października do 9 listopada włącznie do godz. 8-ej wieczór. Z Członków Wydziału delegowani zostali do prowadzenia tych polowań: na Lubicach p. Korybut-Daszkiewicz, na Tchórzowej p. Łączkowski, na Pogorzeli p. J. Zarembski, na Łucznicy p. Lissowski, na Jartyporach p. Br. Wysocki, na Sobieniach Dworskich pan Łączkowski, na Warszewicach p. J. Sztolcman. Losowanie zapisanych na polowanie Czlonków odbędzie się d. 9 listopada po godz. 8-ej wieczorem. Wysokość składki łącznie z wynagrodzeniem służby leśnej oznaczono na 10 rub.

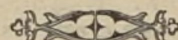
Posiedzenie Rady, 28 października. P. Krumpel o'Connor pragnie oddać w dzierżawę polowanie w lesie „Grudzień" o 12 wiorst od Tomaszowa Rawskiego na przestrzeni 14 i pół włók. Ponieważ to przestrzeń zamała dla Tow., przeto Rada oferty nie przyjęła.



Kronika myśliwska.

(Prosimy Szan. Czytelników naszych o nadsyłanie wiadomości do tej rubryki).

Uzestnicy polowania, które się odbyło w dniu 14 października r. b. w Tworzyjankach (pow. Brzeziński) u Pp. Ign. Grzędziców, rozpoczęli sezon zimowy pod doskonałą wróżbą i przeżyli bardzo miły dzień. Złożyły się na to gościnność i serdeczność Sz. Gospodarstwa, obfitość zwierzyny i cudna jesienna pogoda. Na rozkładzie były 2 bażanty, 34 kuropatwy, 86 zajęcy, 2 króliki i siewka; razem 125 sztuk.



Wykazy myśliwskie.

— W leśnictwie Krośniewice zabito w okresie czasu od 1900 r do 1908 r.:

Zwierzyny użytkowej: rogaczy 54, sarn 1, zajęcy 6298, królików 2253, baażntów 2577, słomkę 1, kuropatw 3530, krzyżówek 11.

Szkodników: wiewiórek 282, lisów 163, borsuków 2, kun 17. tchórzów 274, łasie 473, psów 1498, kotów 776, czapli 20, jastrzębi większych 479, mniejszych 519, sów 36, srok 71, wron 5223, sójek 58.

Razem więc zabito 24.416 sztuk.

Najobfitszy rok na zające był 1905/6 padło tam bowiem 1117 zajęcy, na kuropatwy zaś 1902/3, gdyż zabito 1338 kuropatw.

Nadesłano nam wykaz zabitej zwierzyny łownej i szkodników w leśnictwach Jabłonna i Nieporęt w ciągu ostatnich 33 lat, t. j. w czasie od 1875/6 r. do 1907/8 r. włącznie. Z interesującego tego wykazu okazuje się, że w ciągu tych 33-ch lat zabito tam zwierzyny użytkowej: dzików, odyńców 15, loch 29, warchlaków 27, rogaczy 606, kóz 78, zajęcy 16.650, bażantów 69, cietrzewi 13, słonek 39, kuropatw 3437, przepiórek 19, derkaczy 28, dubeltów 16, kszyków 54, kulików 4, krzyżówek 239 — razem zwierzyny użytkowej 21.323 sztuk; szkodników zabito: wilków 4, lisów 128; innych szkodników wykaz z lat dawniejszych nie obejmuje, prawdopodobnie nie notowano ich w kontrolach; z ostatniego tylko roku widzimy w wykazie takie cyfry: kun 3, tchórzów 2, łasic 5, psów 179, kotów 70, jastrzębi większych 31, mniejszych 35, srok 132, wron 634.

Najobfitszy plon zajęcy dały lata 1893/4 — 1267 sztuk i 1894/5 — 1296 sztuk; rogaczy zabito najwięcej 1894/5 r. — 40 sztuk. Wilki w wykazie figurują w 1876/7 r. — 1 sztuka i w 1878/9 — 3 sztuki. Kuropatw w powyższych leśnictwach zabito niewiele, co się tłómaczy tem, że są to przeważnie głębokie knieje; najobfitsze jednak na kuropatawy były lata 1896/7 i następny, zabito bowiem w pierwszym 365, w drugim 335 sztuk.

Inspektorem nadleśnictw Jabłonna i Nieporęt jest p. Gustaw Buseck-Busecki.

Drobiazgi myśliwskie.

Dziki pod Wiślicą. W Żurawnikach, majątku p. T. Zarembskiego, w pow. pinczowskim, pod Wiślicą, w okolicy całkiem bezleśnej, dano znać do dworu, że na łąkach pojawiły się dwa dziki. Bawiący podówczas w gościnie u p. T. Z. p. Stefan Libiszowski, nie mając pod ręką sztucera, kazał w kuźni ulać kilka kul i zastosowawszy je do broni 5-cio strzałowej systemu Browninga, udał się wraz z gospodarzem na poszukiwanie rzadkiej w tych stronach zwierzyny. Zwołano pośpiesznie nagankę i w braku innych, zabrano na polowanie psy podwórzowe. Po krótkich poszukiwaniach ruszono dzika w wiklinach nadnidziańskich i po pierwszym celnym strzale p. L., rozjuszony dzik, pędzący prosto na myśliwych, padł, ryjąc jeszcze siłą rozpędu ziemię racicami na długości paru metrów. Zabity spory odyniec ważył około 500 funtów. Drugi dzik przepadł bez śladu. Zwierzęta, jak się zdaje, przywędrowały z lasów Staszowskich ks. Macieja Radziwiłła.

Wypadki z bronią myśliwską. W kolonii Porożestare, pod Cekowem, wybrali się 15 października dwaj koloniści na polowanie. Idący przodem zauważył zająca i zwrócił uwagę kolegi, który trzymając rękę na cynglu dubeltówki, niechcący wypalił i... wsadził cały nabój w plecy towarzysza, który w kilka chwil życie zakończył. Zabójcę aresztowano. — Z Wielunia donoszą, że w majątku Strojce, w gm. Praszka, syn miejscowego gorzelanego, Fryderyk Bertman, strzelał w stodole dla wprawy z floweru. Jedna z kul przebiła ścianę i ugodziła w skroń robotnika tegoż majątku, Stanisława Strzeleckiego, lat 70, który po kilku minutach wyzionął ducha.— Do lecznicy prywatnej na ulicy Boduena Nr. 5 w Warszawie, przywieziono na kuracyę J. K. z pow. Mińsko-Mazowieckiego, z postrzałową raną jamy brzusznej, którą zadał sam sobie, wypadkowym strzałem z broni myśliwskiej na polowaniu nieopodal Otwocka.

„Puszcza Rudnicka“. Korespondent „Gońca Wil.“ z Olkienik w pow.trockim w następujący sposób opisuje znaną już z polowań naszych królów puszczę Rudnicką: „Na wschód od miasteczka ciągnie się niemal przez 7 mil pod samo miasto Wilno las skarbowy pod nazwą „Puszcza Rudnicka“. Las ten jest przepełniony zwierzyną, są tu: łosie, sarny i dziki. Niegdyś były tu nawet niedźwiedzie, lecz wskutek częstych łowów zostały całkiem wytępione. Osobom obcym wzbroniono teraz polować na niedźwiedzie pod grozą grzywny rb. 50 za każdą zabitą sztukę. Tylko czasami jesienią zjeżdżają tutaj z Wilna na polowanie wyżsi urzędnicy, jako to: generał-gubernator i członkowie zarządu leśnego. Dzięki ochronie zwierzyny, rozpłodziło się bardzo wiele dzików, które plądrują latem, niszczą zasiewy i kartofle włościan, osiedlonych w lesie na polanach. Najwięcej cierpią włościanie wsi Pirciupie, składającej się z 7 gospodarstw. Rok rocznie dziki wyjadają im zboża i kartofli przeszło za rb. 100, a niema na kim poszukiwać strat. W głębinach tego lasu rozpłodziła się również wielka masa wilków, które swobodnie plądrują po wsiach, chwytając, co się zdarzy. Bywały takie wypadki, że wilki w jasny dzień porywały we wsi z pod samego progu prosięta“.

Psy w służbie policyjnej. W Petersburgu odbyć się ma wkrótce próba psów, tresowanych umyślnie do służby policyjnej; próbę tę urządza zalegalizowane niedawno Tow. pop. zastosowania psów do służby policyjnej i wartowniczej. Do konkursu staną psy policyjne z Kijowa, Rygi, Wilna, Libawy, Mitawy i t. d., oraz psy niemieckie. Wszystkich psów odpowiednio tresowanych zapisano z górą 50. Nowe T-stwo, którego celem jest popieranie myśli użytkowania psich zdolności do tropienia zbiegów, zainteresowało — jak pisze „Now. Wremia“ — w znacznym stopniu koła administracyjne. Na członków zapisali się dyrektor departamentu policyi, Trusiewicz, naczelnik m. Petersburga, pomocnik naczelnika miasta Łysagorskij, prokurator petersburskiej izby sądowej, Kamyszanskij, dowódca korpusu żandarmów, baron Taube i wielu innych. Pierwsze zebranie ogólne T-stwa odbyło się w siedzibie departamentu policyi.

Ofiara obowiązku. Na prospekcie Woźniesieńskim— opowiada „Kraj“ — jakiś dorożkarz najechał na idącego ulicą mieszczanina Francewa, który, prawie omdlały, upadł na bruk. W chwili tej właśnie pokojówka p. Zołotowa, mieszkającego w domu Nr. 36 przy tym prospekcie, wyprowadziła na spacer psa, sprowadzonego specyalnie z zagranicy za grube pieniądze, a ułożonego specyalnie do służby policyjnej. P. Z. nabył tego psa niedawno i miał go zamiar posłać do swego majątku. Zobaczywszy zbiegowisko i rozumiejąc, że należy chwytać złoczyńcę, pies rzucił się w środek tłumu i schwycił za kołnierz Francewa. Policyanci, nie wiedząc o co chodzi, zaczęli psa odpędzać, ale ten ani myślał puszczać swej zdobyczy i wolał paść ofiarą obowiązku — pod ciosami pałaszy policyantów.

Odlot ptaków. Osobliwe widowisko obserwowano nad jeziorem Mügel pod Berlinem. Po południu odlatywały stada szpaków po 500 do 1000, które zgromadziły się w okolicznych lasach. Po zachodzie słońca przelatywały ponad jeziorem mniejsze stadka do 30 dzikich gęsi. W przeciągu krótkiego czasu zebrało się około 200 takich stadek w jedną wielką gromadę, liczącą 3000 do 4000 gęsi, które puszczały się następnie w drogę do południowych krajów. Krzyk odlatujących ptaków można było słyszeć na odległość aż do 7 kilometrów. Odbywają one w czasie podróży odpoczynki na wielkich jeziorach.

* *

Pies tresowany. Do jednego z prowincyonalnych miasteczek zajechał handlarz psów. Z pomiędzy całej sfory największe wrażenie na panu Jakóbie, właścicielu szynku pod „Słowikiem“, zrobił młody jeszcze szczeniak. Nie targował się też długo. Wkrótce jednak pokazało się, że pies należał do najzwyklejszych kundlów, a obdarzony przytem był takim apetytem, że go nakarmić było niepodobna. Wściekły, biegnie do handlarza. — Mam cię, łajdaku jeden — powiada zirytowany, zaraz na samym wstępie — sprzedałeś mi łotrze zamiast tresowanego psa, najzwyklejszego kundla! — Tak — odpowiada han-

dlarz ze spokojem stoika — trzeba było patrzeć na moją tablicę przy wejściu: „Przed psami ostrzega się Szan. Publiczność".

* * *

„Myśliwa Austrya". Austrya zachowuje się prawdziwie po myśliwsku; wpierw polowała, a teraz ma bigos.

(C. d. n.).



ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Panu Web., pod Rawą. Puhacze ma na zbycie p. Józef Koperkiewicz w Albertynie pr. Słonim, grodz. gub. Sprzedaje je po 30 rb. z klatką. Do niego więc należy zwrócić się listownie. Sposób polowania z puhaczem jest tylko jeden, t. j. polowanie z budki. Ten rodzaj polowania był opisany w jednym z pierwszych roczników naszego pisma szczegółowo.

Treść Nr. 21 „Łowca Polskiego".

Prenumerata „Łowca Polskiego" wynosi:

W Warszawie: rocznie 6 rub., półrocznie 3 rub., kwartalnie 1 rub. 50 kop. (z odnoszeniem do domu).

Z przesyłką pocztową: rocznie 7 rub., półrocznie 3 rub. 50 kop., kwartalnie 1 rub. 75 kop.

Zagranicą: rocznie 10 guld., albo 16 marek, albo 20 franków; półrocznie 5 guld., albo 8 marek, albo 10 fran.

Pojedyńczy numer **„Łowca Polskiego"** 30 kop.

Ogłoszenia za wiersz drobnego pisma (petitu) lub jego miejsce 10 kop.

„Łowca Polskiego" prenumerować można: w Kantorze Administracyi **„Łowca Polskiego"** w Kancelaryi Warszawskiego oddziału Cesarskiego Towarzystwa Prawidłowego Myślistwa, Nowy-Świat 35, oraz we wszystkich księgarniach w Warszawie i na prowincyi.

Listy do **„Łowca Polskiego"** adresować należy:
Smolna 40, w Warszawie.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca **Jan Sztolcman.** Druk **„Drukarni Polskiej" (L. Straszewicza). Warszawa, Jasna 2.**